

Coraz częściej tym, co łączy różne grupy Polaków, jest nie to, czego wspólnie pragną, ale raczej to, do kogo wspólnie czują niechęć czy wręcz nienawiść. Na tym nie da się budować. Z tego nie da wskrzesić się żadnej nadziei innej niż nadzieja na rewanż, a może nawet zemstę. Nie takiej nadziei dziś w Polsce potrzeba. **INNY** Demokracja ani nie jest samoistnie oczywista, ani nie jest bezalternatywna. Demokracja zawodzi zwłaszcza tam, gdzie brakuje demokratów. Istnieje nawet szereg przykładów na to, że demokracje – całkowicie demokratycznie – potrafią popełnić samobójstwo. Jak tego uniknąć? **POMYSŁ** Demokracje „bezwysiłkowe”, opierające się na czysto arytmetycznym zliczaniu głosów dla ustalenia większości, są nieodporne na różnego rodzaju wirusy. Konieczna jest nieco bardziej ambitna i bardziej kosztowna forma demokracji – wysiłkowa, ale bynajmniej nie heroiczna. **NA DEMOKRACJĘ** Jak to może wyglądać w praktyce? Jak odbudowywać Republikę? Jakub Wygnański przedstawia wnikliwe diagnozy i daje do ręki bardzo konkretne propozycje działania. Od wspólnego namysłu nad tym, co wspólne, prowadzi czytelników do wspólnej pracy nad tym, co wspólne.

Jakub Wygnański

# **INNY POMYSŁ NA DEMOKRACJĘ**

**Jakub Wygnański**

## Spis rzeczy

---

### **Część 1. Intencje – konteksty – inspiracje 3**

---

Demokracja wysiłkowa 6

---

Zmieniać nawyki 8

---

Polityka inna niż marketingowa 11

---

Wyjść poza gniew 18

---

### **Część 2. Co chcemy osiągnąć? 24**

---

Modelowy cykl: pięć kroków 25

---

Krok 1: wybór tematu 28

---

Krok 2: diagnozowanie i mapowanie  
(Księga Zielona) 34

---

Krok 3: poszukiwanie rozwiązań (Księga Biała) 35

---

Krok 4: czas obywateli 39

---

Krok 5: sformułowanie „wynikowej” propozycji i troska  
o jej wdrożenie 46

---

### **Część 3. Jak puścić tę maszynę w ruch? 51**

---

Mieć z kogo i z czego wybierać 53

---

Kogo potrzeba, żeby wystartować 56

---

**CZĘŚĆ 1.**  
**Intencje – konteksty – inspiracje**

---

Poniższa publikacja jest mieszaniną różnych konwencji. Ma w sobie coś z manifestu i coś z tekstu analitycznego. Jest czymś w rodzaju swoistej „instrukcji obsługi” i mowy motywacyjnej razem. A wszystko to ściśnięte jest na niewielkim terytorium – wystarczająco małym, żeby dało się je objąć wzrokiem.

Nieomal do każdego fragmentu tekstu i do każdego pomysłu, jakie tu przedstawiam, mógłbym i być może powinienem dodać rozbudowane przypisy, objaśnienia i uszczegółowienia. Nie czynię tego, ale mogę zapewnić, że za sformułowanymi w tekście opiniami czy proponowanymi działaniami stoi wiele rozmów, praktyk, szkiców, prototypów i doświadczeń. Tak właśnie: doświadczeń – bo tym, co odróżnia ten tekst od czystej publicystyki czy akademickiego wywodu jest fakt, że został on napisany przez praktyka.

Choć zabrzmiałoby to arogancko, to chcę jednak powiedzieć to na początku jasno i wyraźnie: to, co dalej opisuję (lub coś zbliżonego) jest możliwe do zbudowania i mogłoby „latać”. Nie jest to tak skomplikowane jak budowa rakiety (jej konstrukcja byłaby za trudna, za droga i zbyt ryzykowna), ale mogłoby latać jak szybowiec. Jeśli napotka wiatry i prądy powietrza – polecą... Wszystkich „konstrukcyjnych szczegółów”

**Emocjonowanie się (a nawet irytacja) działalnością polityków to nie jest autentyczne zaangażowanie polityczne. Tak samo jak moralizowanie nie czyni nas bynajmniej bardziej moralnymi.**

- 6 jednak tu nie opisuję, bo moim zamiarem jest utrzymanie uwagi czytelnika na dość długo, ale nie zbyt długo – tak, żeby jednak mógł objąć zarówno początek, jak i koniec wywodu.

**Demokracja wysiłkowa** Choć – jak widać – nie umiem dobrze wyjaśnić, czym jest ten tekst, łatwo mogę jednak stwierdzić, czym nie jest. Nie jest on mianowicie programem politycznym, choć owszem mówi o sposobie (być może nowym) „robienia polityki”. Nie namawiam tu do powoływania żadnych nowych podmiotów, ale wskazuję na coś może ważniejszego – a mianowicie proces, w jaki podmioty już istniejące mogłyby się włączyć w odbudowę fundamentów demokracji.

Można odczytać ten tekst jako pomysł na to, jak – nie tracąc czasu – dotrzeć do kolejnych wyborów, które być może oddadzą władzę komuś innemu. W istocie jednak jego aktualność nie kończy się w dniu wyborów i nie taka jest jego zasadnicza funkcja. To nie jest instrukcja, jak wygrać wybory (choć być może jej zastosowanie ujawni czy stworzy pozytywne powody, dla których warto je wygrać). Poniższy sposób myślenia byłby aktualny nawet wtedy, gdyby w Polsce rządził kto inny. To jest bowiem pomysł raczej na to, jak w ogóle działać poza wyborczymi cyklami polityki i poza tradycyjnymi jej formami organizacyjnymi (a zatem partiami politycznymi) – żadnego z nich nie unieważniając, ale nadając im nowy sens i stawiając przed nimi wyższe oczekiwania z nadzieją, że przyniesie to dobroczynne skutki dla nich samych.

Wiele elementów kontekstu jest specyficznie polskich (w szczególności wymienione instytucje i tematy), ale podobny pomysł miałby zastosowanie w większości krajów, w których tradycyjny model demokracji (nie tylko „nieoliberalnej”, ale też całkiem „liberalnej”) mierzy się z analogicznymi wyzwaniami. Ich wspólnym mianownikiem jest zawodność lub co najmniej ograniczoność tradycyjnych form zarówno demokracji przedstawicielskiej, jak i różnych form demokracji bezpośredniej. Trzeba szukać czegoś więcej, czegoś pomiędzy (trzeciej drogi?) – zarówno jeśli chodzi o mechanizmy demokratyczne,

**7** jak i realne zaangażowanie obywateli. Poszukiwanie trwają i o części z nich wspomina w tej propozycji.

Demokracje „bezwysiłkowe”, opierające się na czysto arytmetycznym zliczaniu głosów dla ustalenia większości, na odświętnych i rytualnych czynnościach (wybory co kilka lat) są nieodporne na różnego rodzaju defekty i wirusy. Demokracja ani nie jest samoistnie oczywista, ani nie jest bezalternatywna. Ma wielu konkurentów i długą listę porażek na koncie. Demokracja w szczególności zawodzi tam, gdzie brakuje demokratów. Istnieje nawet szereg przykładów na to, że demokracje – całkowicie demokratycznie – potrafią popełnić samobójstwo. W ciągu ostatniego stulecia daliśmy dowody, że demokracje nie uodparniają na konflikty, że toczą między sobą najkrwawsze wojny i że potrafią wynieść do władzy tyranów, którzy w żadnym innym ustroju nie mieliby na to nawet cienia szansy.

Dlatego konieczna jest nieco bardziej ambitna i bardziej kosztowna forma demokracji. Demokracja wysiłkowa, ale bynajmniej nie heroiczna. Uważam, że warto jej szukać, a poszukiwania takie trwają w wielu miejscach na świecie. Powinny też trwać w Polsce, bo tu również (może nawet bardziej niż gdzie indziej) są potrzebne. Nawet jeśli opisane niżej propozycje wydają się nierealne (za duże, za trudne, po prostu naiwne – lista powodów może być długa), ciągle wierzę, że nawet jeśli ten tekst będzie tylko rodzajem zaczepki czy prowokacji, to wywoła on moment namysłu. A kto wie, może znajdą się tacy, którzy jednak zechcą spróbować realizować opisane tu pomysły.

Cały ten zamysł – choć dość autorski – nie powstałby, gdyby nie dziesiątki rozmów (czasem zachęt, czasem przestroóg) z przyjaciółmi z różnych środowisk. Jakieś jego warianty krążyły od pewnego czasu jako nieoficjalny dokument o ograniczonej dystrybucji. Obecnie jest publikowany wspólnie przez trzy instytucje i środowiska, z których pochodzą (choć nie wyłącznie) moi rozmówcy. To dla mnie zaszczyt, że przy tej publikacji pojawiają się loga Laboratorium „Więzi”, Komitetu Dialogu Społecznego KIG i Fundacji Stocznia. Bardzo dużo

## **CZĘŚĆ 1**

### **Intencje – konteksty – inspiracje**



8 zawdzięczam ludziom z każdej z nich. Dziękuję przy okazji także innym osobom, które znalazły czas i cierpliwość na rozmowy o opisanych tu pomysłach[1].

**Zmieniać nawyki** Dokument ten powstawał etapowo. Zarys pomysłów, które znajdują swoje uszczegółowienie poniżej, opisałem w tekście „Tysiąc dni bez wyborów. Tysiąc dni dla Republiki” opublikowanym w sierpniu 2020 r. w portalu Więź.pl[2]. Przeczytanie samego tytułu tamtego tekstu poniekąd mogło zwolnić z czytania całej reszty. Planowałem napisanie nowszej jego wersji – zastanawiając się, czy nie powinna nosić tytułu różniącego się jedynie liczbą dni pozostałych do najbliższych wyborów ogólnopolskich. Zegar przecież wciąż cyka, na dziś zostało ich około 800 – choć oczywiście może też się okazać, że jest ich znacznie mniej.

Na podobnej zasadzie mogłyby powstawać kolejne wersje tej refleksji, różniące się od pierwszej jedynie tym, że na początku chodziło o to, by podkreślać, że czasu jest mnóstwo – wyzwaniem było wręcz, co z tym czasem zrobić, mówiąc ironicznie, niemal jak zabić nudę, która męczy nas do kolejnego wyrzutu wyborczej adrenaliny. Kolejne teksty przypominałyby o tym, że czas płynie. A na koniec, np. na 100 dni przed wyborami, mógłbym napisać gorzki artykuł o tym, że czas został znów zmarnowany.

Tak nie musi być. Zasadnicze wyzwanie (i zarazem szansa) polega na tym, że skoro mamy czas do wyborów, to warto go wykorzystać i mierzliwie „wytwarzać” propozycje ważnych rozwiązań dotyczących polityk publicznych. Określam tym mianem cierpliwy, deliberatywny i partycypacyjny proces włączający różne środowiska. Nie będzie łatwo, bo złe nawyki polskiej polityki są mocno utrwalone. Mam wrażenie, że

[1] W szczególny sposób tekst dedykuję osobom, z którymi w ciągu ostatnich kilku miesięcy miałem okazję kilkakrotnie rozmawiać na temat zawartych w nim pomysłów: Edwinowi Bendykowi, Jerzemu Hausnerowi, Rafałowi Dutkiewiczowi, Michałowi Boniemu, Annie Mierzyńskiej, Zofii Komorowskiej, Pawłowi Ciackowi, Antoniemu Bielewiczowi, Jackowi Cichockiemu, Zbigniewowi Nosowskiemu i Konradowi Ciesiołkiewiczowi.

[2] Zob. <https://wiesz.pl/2020/08/08/tysiac-dni-bez-wyborow-tysiac-dni-dla-republiki/>

## CZĘŚĆ 1

### Intencje – konteksty – inspiracje

**Republika to nie partyjna przynależność. To uznanie, że są sprawy wykraczające poza partyjność. Republika to ustrojowa reguła (w niektórych krajach składa się przysięgę na wierność właśnie tej regule).**

10

swoiście rozumiana polityczna prokrastynacja – robienie wszystkiego na ostatnią chwilę – stała się trwałą dolegliwością w życiu publicznym w Polsce. Tego rodzaju złe nawyki są najbardziej kosztowne w takich sytuacjach jak ta, z którą mierzymy się obecnie. Ostatnie lata to, w mojej opinii, prawie całkowity uwiąd myślenia strategicznego, systemowego i państwowego – zarówno po stronie rządu, jak i opozycji, ale także wielu innych środowisk opiniotwórczych. Dominuje dryf, zamykanie pod dywan, kosmetyka, biegunka, kolejne „przykrywanie” jednych spraw drugimi.

Można i trzeba działać inaczej, ale wymaga to jednak nieco wysiłku. Trzeba zmagać się z naturalną, grawitacyjną tendencją do obniżania środka ciężkości. Niezbędne jest planowanie i koordynacja działań przeciw naturalnym przyrostom entropii. Innymi słowy, samo się nic nie stanie. Samo stać się może jedynie to, co już dobrze znamy. Potrzebne jest zatem jakieś postanowienie, akt woli, upór i cierpliwość. Potrzebny jest harmonogram ćwiczeń. Jeszcze niedawno myślałem o całym przedsięwzięciu tak, jak myśli się o diecie – zastanawiając się, ile ma potrwać (7-dniowa, miesięczna, 40-dniowa, więc dlaczego nie 800-dniowa?). Wiele osób myśli o diecie, odliczając czas do wakacji na plaży, na której trzeba się będzie pokazać. Można też tak myśleć o wyborach (tam też trzeba się pokazać), ale wiem już, że to zły trop.

[3] Gdy kończę ten tekst, mam za sobą przeprowadzenie serii wysłuchań obywatelskich dotyczących tzw. Krajowego Planu Odbudowy (a w przygotowaniu są kolejne wysłuchania). W ciągu zaledwie dwóch tygodni udało się zmobilizować ponad 1600 uczestników w tym ponad 400 mówców, którzy w serii pięciu wysłuchań (każde trwało około pięciu godzin) zgłosili swoje uwagi. Znakomita większość z nich to osoby nieznanne szerszej opinii publicznej, a mimo to mówiące na ogół bardzo kompetentnie. W opinii mniej więcej 9 na 10 uczestników (także przedstawicieli rządu, którzy, mówiąc oględnie, nie byli w większości przypadków komplementowani za propozycje dokumentu) cały proces dostarczył nowych faktów i opinii, był wartościowy i dobrze zorganizowany (organizacja wysłuchań w całości spoczywała na organizacjach społecznych: Fundacji Stocznia i OFOP) <https://www.wysluchanieplanodbudowy.pl/> Można powiedzieć, że zdarzenia takie jak to pozwalają sceptykom i niedowiarkom otworzyć oczy i pokazać, że nie jesteśmy skazani na bezczynność. Proces ten pokazał też, że w takich działaniach środowiska obywatelskie muszą być podmiotowe, polegać na własnych zasobach i prowadzić swoje własne przedsięwzięcia, nie oglądając się na stronnictwa polityczne, które kierują się swoją własną, szczególną i czasem trudną do rozpoznania logiką.

## CZĘŚĆ 1

### Intencje – konteksty – inspiracje

**11** Właściwie sens ma jedynie trwała zmiana nawyków (często mikronawyków), a ta nie kończy się za sto czy tysiąc dni. Teraz myślę o opisanych tu pomysłach nie w perspektywie 100 czy 1000 dni, ale raczej jako o propozycji kształtowania trwałych nawyków, które – właśnie przez ich utrwalenie – mogą okazać się skuteczne. Nie chodzi nawet o całość opisanego tu przedsięwzięcia – z pewnością, jeśli coś z niego uda się zrealizować, efekt będzie inny niż to, co niżej opisuję. Chodzi o choćby poszczególne jego elementy. Jako przykład mogę podać wysłuchania publiczne, które po prostu z zasady powinny towarzyszyć przygotowywaniu ważnych projektów legislacyjnych[3]. W tej propozycji jest zresztą wiele elementów, które powinny być uznawane za stałe fragmenty gry, które można stosować zarówno łącznie, jak i odrębnie.

Poza wspomnianymi rozmowami poniższy tekst jest również wynikiem procesu kolekcjonowania doświadczeń – zarówno sukcesów, jak i porażek. Znacznie częstsze niestety były właśnie doświadczenia porażki, straty i bezsilności. Znam wrażenie podrywania się do lotu, mobilizacji – a następnie opadania, zniechęcenia, porażki. Z tych doświadczeń wyłania się jednak wspólny pogląd, rodzaj postanowienia, że potrzebny jest jakiś nowy, inny pomysł na demokrację, że niezbędny jest systematyczny, długofalowy, produktywny, możliwie partycypacyjny proces, który pozwoli nam wydostać się z pułapki, w której znakomita większość obywatelskiej energii zużywana jest niemal wyłącznie na działania reaktywne i defensywne.

Trzeba odzyskać „kontrolę nad czasem”. Mieć własną agendę – działać we własnym tempie, mieć swój żyroskop, regulować oddech i tempo oraz przechodzić (nieodwołalnie jak kolejne pory roku) przez kolejne etapy i sprawiać, żeby czas działał na naszą korzyść. „Naszą” – czyli na korzyść wszystkich tych, którzy z troską myślą o sytuacji w Polsce i chcą szukać programów jej naprawy – gdziekolwiek obecnie się znajdują.

**Polityka inna niż marketingowa** Owszem, to jest projekt polityczny, ale chodzi tu o właściwe rozumienie słowa „polityka” – jako

**Nie wystarczy lamentować  
po Trzeciej RP i pomstować  
na tych, którzy zdemolowali –  
wydawało się – dobrze ułożony  
świat. Coś było w nim źle uło-  
żone, skoro tak łatwo udało się  
go unieważnić.**

roztropnej troski o dobro wspólne (Republikę). Dlaczego posługuję się pojęciem Republika? Dla niektórych to zaskakujące, bo w polskich warunkach skojarzenia z republikanizmem są jednoznaczne. No cóż, od lat działa w Polsce dobrze zorganizowana grupa osób i instytucji, które niejako przywłaszczyły sobie pojęcie republikanizmu – bardzo mu przy tym szkodząc. Najwyższy czas przywrócić mu właściwe znaczenie. Republika – *res publica*, Rzeczpospolita – to nie partyjna przynależność. Wręcz przeciwnie: to uznanie, że są sprawy wykraczające poza partyjność. Republika to ustrojowa reguła (w niektórych krajach składa się przysięgę na wierność właśnie tej regule). O takim republikanizmie mowa w tym przedsięwzięciu.

Podkreślam też słowo „roztropność” (gr. *phronesis* – mądrość praktyczna), bo to ona powinna być głównym przymiotem kogoś, kto zajmuje się sprawami publicznymi. Ten projekt to, owszem, zaproszenie do polityki czy polityczności (w większości przypadków: krótkich odwiedzin, epizodu), jest to jednak ten rodzaj polityki, którego nie trzeba się ani wstydzić ani brzydzić. Wbrew pozorom w Polsce brakuje właściwie rozumianej polityczności. Nie miejmy złudzeń. Emocjonowanie się (a nawet irytacja) działalnością polityków (czy to opozycji, czy też rządu) to nie jest autentyczne zaangażowanie polityczne. Tak samo jak moralizowanie nie czyni nas bynajmniej bardziej moralnymi. Tu chodzi o coś innego.

Zaproszenie do działań, które zawiera ten tekst, mniej dotyczy polityków – choć jest to również apel do nich, by zaczęli inaczej rządzić, by w nowy sposób podjęli odpowiedzialność za funkcjonowanie państwa. Bardziej skupiam się jednak na wymiarze obywatelskim, myśląc o tych, którzy po prostu chcą być dobrze rządzeni. To istotna różnica. Całe to przedsięwzięcie można porównać do próby stworzenia ruchu konsumenckiego – tyle że chodzi tu o świadomość konsumencką w świecie spraw publicznych i polityki partyjnej. Jego uczestnicy nie chcą bynajmniej zamienić się w dostawców, nie chcą stać się politykami, nie chcą piastować urzędów. Chcą jednak, aby to, co jest oferowane w świecie polityki, miało sensowną jakość i rzeczywiście odpowiadało na ich potrzeby.



Ta analogia jest adekwatna również dlatego, że w ostatnich latach polityka upodobniła się do sprzedaży i używa na masową skalę narzędzi marketingowych. W świecie marketingu coraz rzadziej chodzi o sprzedaż przedmiotów czy usług, ale raczej o sprzedaż emocji i poczucia przynależności. Specjaliści od marketingu już dawno przerobili nas na maszyny do kupowania. Jesteśmy posegmentowani, boleśnie przewidywalni, podatni na manipulację i fabrykowanie potrzeb, a mówiąc precyzyjniej: pragnień. Uczyniono wszystko, żeby wyłączyć namysł i zastąpić go emocjami. Podobnie dzieje się niestety w polityce...

W szczególności proces ten zauważalny jest w ustrojach demokratycznych (w każdym razie tych, gdzie władze muszą wygrać wybory), bo w nich przynajmniej raz na jakiś czas trzeba uzyskać poparcie większości. Trzeba więc coś rozdać, czymś się podzielić, dostarczyć jakiejś ważnej emocji (np. poczucia wybraństwa albo dumy czy tabletki na lęki, które samemu najpierw się obudzi). To dlatego kluczem do sukcesu jest masowa propaganda pomieszana z mikrotargetingiem. To dlatego kluczem do wygrania wyborów nie jest bynajmniej mówienie wyborcom rzeczy, które powinni usłyszeć (np. że łatwo już było), ale rzeczy, które chcą usłyszeć. To dlatego miejsce poważnych ośrodków analitycznych kształtujących polityki publiczne zajęli specjaliści od marketingu.

Demokracja w swojej najprostszej, bezwysiłkowej, roszczeniowej formie to ustrój, który słusznie krytykował Sokrates – jako ten, w którym „kosmetyka jest ważniejsza niż gimnastyka, a erystyka ważniejsza niż polityka”. Zadziwiająco trafna konstatacja mimo upływu prawie 2,5 tysiąca lat. Ten rodzaj sceptycyzmu co do demokracji przenosi się kolejno na uczniów Sokratesa – Platona, a później Arystotelesa. Ten ostatni zdefiniował w *Polityce* sześć możliwych ustrojów. Można je przedstawić jako trzy pary rozwiązań dobrych i złych (prawych i nieprawych) – zależnych od tego, jak liczni są rządzący oraz jakie motywacje towarzyszą im w sprawowaniu rządów. Tak więc rządowi jednostek odpowiada para monarchia–tyrania. Rządy nielicznych to para arystokracja–oligarchia. A rządy wielu to para politeia–demokracja.

Niektórych może zaskakiwać, że demokracja umieszczona jest po stronie ustrojów złych. Dlaczego? Upraszczając, argumentacja jest następująca. W oligarchii złe jest nie to, że rządzą w niej nieliczni, lecz fakt, że owo wybraństwo jest wynikiem nie cnót (jak dzieje się w „dobrej” arystokracji), lecz majątku. Innymi słowy, oligarchia jest zła, bo rządzą w niej nieliczni bogaci. Demokracja też jest jednak zawodna, bo rządzą w niej liczni, ale... biedni. Rzecz jasna, bieda nie ujmuje im cnoty, ale czyni ich podatnymi na to, żeby swoje preferencje wyznaczać oczekiwaniami prezentów, redystrybucji, igrzysk – ogólnie rzecz biorąc, uzależniać je od zaspokajania swoich indywidualnych potrzeb.

Za optymalny ustrój dla republiki Arystoteles uznaje ową lepszą siostrę demokracji – nazywa ją *politeia*. To też demokracja, tylko ta „dobra”. Jej podstawą jest istnienie czegoś na kształt „klasy średniej” wyodrębnionej nie tylko w sensie majątkowym, lecz właśnie obywatelskim. Chodzi o osoby praktykujące cnoty obywatelskie (umiar, męstwo, prawdomówność, roztropność, wielkoduszność, sprawiedliwość). Warto podkreślić, że cnoty to nie to samo co wartości. Cnota zawsze pochodzi z osobistego wyboru, wysiłku i ćwiczenia. To przymioty osobiste. Winy za ich brak nie da się zrzucić na innych. Istotne jest to, że cnoty mogą być wspólne dla osób, które różnią się co do wyznawanych wartości. To ważna wskazówka.

Dziwić może czytelników, że poważam się tu na kwestionowanie „immanentnego” dobra demokracji. Trzeba jednak pamiętać, że *demos* (lud) może w pewnych okolicznościach okazać się kapryśnym tłumem, nieomal motłochem oczekującym jedynie chleba i igrzysk (wariant rzymski z czasów, kiedy Republikę zastąpiło Cesarstwo). Nadzieję daje to, że możliwy jest jednak również wariant ateński: *politeia* może w nim wydobyć ze swych uczestników lepszą część – troskę i namysł nad sprawami publicznymi (to obywatele ze słynnej mowy Peryklesa, w której wychwala zalety ateńskiej demokracji).

W tej samej mowie Perykles określa ludzi, którzy troszczą się wyłącznie o swoje sprawy (po grecku: *idiotes*) jako bezużytecznych. Stąd właśnie wywodzi się niepocholebne słowo „idiota” (oznacza oddzielność, skupienie na sobie). Owa koncentracja na sobie samym, ów



**Szukanie dobrych pomysłów  
uprawdopodobnia zmianę,  
wyostrza na nią apetyt  
i powoduje, że warto o nią  
zabiegać. Wracanie do tego,  
„jak było”, nie jest poważnym  
programem.**

szczególny uwiad transcendencji – nieuznawanie spraw większych niż my sami – towarzyszy ludziom od zawsze. Do *idiotes* Peryklesa podobny jest człowiek masowy, którego mniej więcej 100 lat temu celnie opisał José Ortega y Gasset w „Buncie Mas”. To człowiek, który zawsze będzie domagał się więcej, który prawie chce wszystko traktować jako osobiste uprawnienie i roszczenie oraz bardzo niechętnie przyjmuje zobowiązania na rzecz innych.

Warto w tym kontekście – i obiecuję, że będzie to już ostatnie antyczne rozróżnienie – przywołać jeszcze *pathos* i *apathos*. To rodzaj opozycji. *Pathos* to emocja, nawet instynkt, uniesienie, szybka ocena, w szczególności błyskawiczne odróżnianie swoich i obcych. To rodzaj specyficzniej rozumianej, często bezrefleksyjnej autentyczności. Emocjami znacznie lepiej można zarządzać (w szczególności np. strachem i lękiem) – to właśnie one są przedmiotem politycznej manipulacji. Im bardziej niepewne czasy, tym silniej napięte są struny tych emocji – są one bowiem częścią naszych naturalnych (w dużej mierze biologicznych zgoła) instynktów. Zawsze łatwiej jest oceniać niż rozumieć. Do rozumienia potrzebny jest *logos* (sens) i poznanie różnych perspektyw (*dia-logos*). Ale żeby to zrobić, trzeba umieć kontrolować emocje – mieć ich świadomość i nie pozwalać, aby to wyłącznie one powodowały nami.

Tym właśnie jest *apathos*. Nie chodzi tu o apatyczość tak, jak rozumiemy ją obecnie – rodzaj lenistwa, beczynności, zaniechania. To nie apatia ze zdania „nie bądź taki apatyczny”. Oryginalnie *apathos* oznacza zdolność do namysłu, racjonalność, roztropność, rozumność. Chodzi nie o brak emocji, lecz o kontrolę nad nimi. To nie impotencja, ale cnota – raz jeszcze: cnota. Opanowanie emocji i instynktów (nawet jeśli jest to tzw. instynkt moralny) to zasadnicza według Greków kompetencja do zajmowania się sprawami publicznymi. Innymi słowy, w proponowanym tu pomysle chodzi o nieco mniej *pathosu* (emocji) i nieco więcej *logosu* (sensu/treści).

W świetle tych przydługich wywodów staje się jasne, o jaką polityczność chodzi w tym projekcie i jak bardzo różni się ona od potocznego rozumienia polityki jako partyjnego sporu – swoiście rozumianego

konkursu piękności, którego istotą jest często iluzja i uwodzenie. Oczywiście też staje się, że zaangażowanie w takie przedsięwzięcia (skoro wymaga wysiłku i nie wypłaca nagród) nie będzie miało masowego charakteru, ale też nie jest to warunek jego sukcesu. Tu jeszcze raz przywołam analogię do ruchu konsumenckiego. Nie musi on być masowy – musi mieć jednak choćby niewielką liczbę osób naprawdę zdeterminowanych w swych działaniach. To wystarczy, żebyśmy my wszyscy – jako konsumenci – mogli skorzystać z ich wysiłków. W całym przedsięwzięciu ważniejsza więc niż ilość zaangażowanych jest jakość zaangażowania.

**Wyjść poza gniew** Znaleźliśmy się w bardzo niebezpiecznym momencie. Coraz częściej tym, co łączy różne grupy Polaków, jest nie to, czego wspólnie pragną, ale raczej to, do kogo wspólnie czują niechęć czy wręcz nienawiść. Na tym nie da się budować. Z tego nie da wskrzesić się żadnej nadziei innej niż nadzieja na rewanż, a może nawet zemstę. Nie takiej nadziei dziś w Polsce potrzeba. Dlatego koniecznie musimy znaleźć metodę, przestrzeń i energię na formułowanie wspólnych postulatów i marzeń; metodę szerokiego, wspólnego namysłu nad tym, co wspólne (nad Republiką).

Grecy nie znali kolarstwa, ale znali dobrze zapasy i może dlatego demokrację określali terminem zaczerpniętym z zapasów. Była dla nich żywołem „agonistycznym”. Brzmi to okropnie, ale chodzi o to, że istotą polityki jest rywalizacja. Grecy nie znali też wyborów co cztery lata – rządy pochodzące z wyborów uważali za formę oligarchii, dlatego losowali reprezentantów. Prawie każdy z obywateli Aten mógł być pewny, że przydarzy mu się epizod bycia wybranym.

W naszym przypadku demokracja przypomina raczej etap w wyścigu kolarskim. Długa jazda w peletonie i raz na jakiś czas – wyborczy finał. Teraz jest czas jazdy w peletonie (jadąc w nim, warto współpracować, ma on swoje odrębne strategie). To długi czas, zanim zawodnicy wpadną na stadion, żeby ostatecznie – dając z siebie wszystko – ustalić, kto jest zwycięzcą. Do tego czasu reguły mogą i powinny być jednak inne. Zresztą opisane tu praktyki nie muszą być odnoszone

do sytuacji wyborczej i do wyścigu w ogóle. Może po prostu chcemy przesiąść się na rowery i działać w swoim tempie poza ligą zawodowych kolarzy? Może chodzi o zupełnie inny rodzaj uprawiania polityki? Inni uczestnicy, inne reguły, inne tempo? Brnąc dalej w tę metaforę, ważne jest spostrzeżenie, że jazda na rowerze wymaga ciągłego pedałowania. Inaczej rower się przewróci...

Na ten proces można też spojrzeć jak na rodzaj inwestycji, z której zyskiem będzie odroczone na przyszłość „oszczędność czasu”. Nie ma wątpliwości, że poszukiwanie rozwiązań dla każdej z ważnych kwestii, którą chcemy poruszyć, i tak kiedyś będzie wymagać czasu. Już teraz wiele spraw odwlekanych jest zbyt długo. Często zaniechania sięgają bardzo daleko i dotyczą różnych środowisk politycznych, które rządziły w Polsce od początku transformacji. Odraczenie owych poszukiwań do momentu jakiegoś domniemanego nowego początku jest nieroztropne. Owszem, niektóre zmiany wymagają zasadniczej politycznej rekonfiguracji, ale z pewnością nie wszystkie.

Niektóre propozycje działań (szczególnie na poziomie lokalnym i szczególnie te, które opierają się na społecznej samoorganizacji) wręcz trzeba uruchamiać niezwłocznie – właśnie dlatego, że obecnie trudno spodziewać się pozytywnych zmian przychodzących „z góry” (np. w dziedzinie edukacji). Tu bardzo istotne znaczenie mogą odegrać środowiska lokalne i samorządowe, które powinny, jak sądzę, szukać – bardziej intensywnie niż dotychczas – różnego rodzaju sprawdzonych modeli działania i „wymieniać je” między sobą. Ten rodzaj „horyzontalnego uczenia”, tworzenie swoistych grup wsparcia, wydaje się w obecnych warunkach jednym z najbardziej obiecujących mechanizmów mierzenia się z ważnymi wyzwaniami. Pozwala też nie być beczynnym i nie czekać, aż zmieni się system, ustawa, władza. Zresztą dla coraz większej ilości wyzwań w ogóle nie istnieją inne niż lokalne rozwiązania. Instrukcje przychodzące „z góry” są raczej źródłem problemów niż rozwiązaniem.

Można też rozsądnie założyć, że szukanie dobrych pomysłów prawdopodobnie zmiana, wyostrza na nią apetyt i powoduje, że warto o nią zabiegać. Wracanie do tego, „jak było” (swoiste Ctrl+Z), nie jest

poważnym programem. Nie wystarczy lamentować po Trzeciej RP i pomstować na tych, którzy zdemolowali – wydawało się – dobrze ułożony świat. Coś było w nim źle ułożone, skoro tak łatwo udało się go unieważnić. Trzeba szukać nadziei, nowego punktu równowagi, trwałej umowy społecznej, która pozwoli nam różnić się, a jednak wzajemnie uznawać i unikać „wahadłowego” modelu, w którym „na zmianę” zwycięzcy chcą mieć wszystko.

W tym czasie musimy też projektować nowe rozwiązania instytucjonalne – bardziej uodpornione na ułomności natury ludzkiej (a nie są one zarezerwowane tylko dla naszych oponentów). Pomni nauczek musimy budować te rozwiązania w oparciu o mocniejsze fundamenty, bardziej odporne na wstrząsy. Muszą być one lepiej ufortyfikowane przed partyjnym przechwyceniem (tu dobrym przykładem mogą być media publiczne, które trzeba nie tyle odbić, ile raczej urządzić je w taki sposób, żeby już nigdy nie mogły zostać użyte jako broń). Lista koniecznych reform ustrojowych jest znacznie dłuższa (np. ordynacja wyborcza, sposób wyłaniania RPO i gwarancje jego niezależności, prawne gwarancje partycypacji obywatelskiej w procesie legislacyjnym, sposób nominowania przedstawicieli do organów spółek skarbu państwa, niezależność prokuratury, likwidacja procederu tzw. aresztu wydobywczego, wzmocnienie instytucji Trybunału Stanu).

Opisywany tu proces ma zapobiegać roztrwonieniu obywatelskiej energii (często gniewu) i zapału płynącego z bardzo licznych środowisk – zwłaszcza lokalnych i szczególnie młodego pokolenia – które w ostatnim czasie dokonały swoistego przebudzenia. Zarówno ci, którzy protestują od lat, jak i ci, którzy robią to od niedawna i ci, którzy robić to będą w przyszłości (a z pewnością tacy będą) powinni umieć wyjść poza gniew. Ci ludzie muszą mieć dokąd pójść, kiedy schodzą z ulicy; muszą – poza oporem i lamentem – umieć snuć marzenia, znajdować nadzieję i szukać własnych odpowiedzi na pytanie: co robić.

Teraz najtrudniejsze: ten projekt nie jest zarezerwowany dla zwolenników opozycji czy przeciwników rządu. Nie wiem, jak mam do tego przekonać czytelników – głównie dlatego, że jasne jest, iż nie należę

**W oparciu o doświadczenia własnych (i nie tylko własnych) sukcesów i porażek powziąłem postanowienie, że potrzebny jest jakiś nowy, inny pomysł na demokrację – że niezbędny jest systematyczny, długofalowy, produktywny, możliwie partycypacyjny proces, który pozwoli nam wydostać się z pułapki.**



do zwolenników obecnego rządu. Wiem, że trudno się go czyta zwolennikom obecnej władzy. Trudno im także przyznać, w jak wielu punktach zgadzają się z przedstawionymi tu diagnozami. Wiem to, bo z niektórymi o tym rozmawiałem.

A jednak przyrzekam, że w tym przedsięwzięciu jest także dla nich miejsce (przynajmniej niektórych, którzy zechcą spróbować). Trzeba mimo wszystkich różnic umieć stworzyć dla nich przestrzeń/„namiot spotkania” – wolny od gęstej atmosfery moralnej przewagi. Zapewne minimalnym warunkiem, żeby się spotkać, jest zdolność (zresztą każdej ze stron) do poznania opinii osób o innych przekonaniach i uznania, że są sprawy ważniejsze niż partyjna przynależność, zaś „partia” i „*patria*” to jednak dwa różne słowa – i to drugie jest ważniejsze niż pierwsze.

Takie spotkanie jest konieczne. Łatwo napisać – trudno zrobić. To będzie wymagało elementarnego zaufania i domniemania dobrych intencji na początku rozmowy. To będzie trudne dla każdej ze stron. W końcu jednak kiedyś każda ze stron będzie musiała zdobyć się nie tylko na wybaczenie, ale na coś znacznie trudniejszego – prośbę o wybaczenie. Nie zepchniemy się przecież do morza, będziemy musieli jakoś znosić się cierpliwie nawzajem.

Z cierpliwością związane jest cierpienie. Kto wie, może musimy zacząć od zaniechania planów nawracania się nawzajem. Może musimy przyjąć do wiadomości, że żyją obok nas Filistyni – każdy znajdzie swoich. Jak napisał kiedyś Amos Oz (był nie tylko pisarzem, ale także izraelskim żołnierzem i działaczem ruchu pokojowego) – *make peace, not love*. Nie musimy się kochać, ale musimy umieć żyć w pokoju. Zresztą dużo wskazówek na temat tego, jak ułożyć relacje z innymi po tym, gdy już przyjmiemy do wiadomości, że prozelityzm nie działa, że nie przekonany się i nie nawrócimy „na nasze” (tak jak sami nie chcemy być nawracani) daje ostatnia encyklika papieża Franciszka o wiele mówiącym tytule „*Fratelli tutti*”. Tradycja czytelnictwa encyklik nie jest może w Polsce najsilniejsza i może dlatego częścią polskiego problemu jest to, że nie potrafimy się różnić, że unieważniamy się wzajemnie. Może teraz byłoby inaczej?

Wiele z kwestii, które proponuję jako przedmiot rozmowy, nie ma szczególnego politycznego koloru (tak samo wszystkich nas dotyczą: kwestia klimatu, jakość edukacji naszych dzieci, stan służby zdrowia itd.). Wiele z nich dotyka nas podobnie i tylko wspólnie możemy się z nimi zmierzyć. Ten projekt to szansa na to, żeby przekonać się, gdzie się różnimy się naprawdę, a gdzie nas umyślnie poróżniono. Z pewnością odkryjemy wiele spraw, które nas łączą – i wiem, że poczujemy z tego powodu ulgę. Warto dać sobie szansę.

Opisywane tu działanie nie ma precedensu i z pewnością napotka na olbrzymie przeszkody. Łączy w sobie bardzo wiele podejść, stylów działania, aktorów, wątków, ról. Poszczególne jego elementy były skutecznie testowane (np. zbieranie podpisów, petycje, wysłuchania, konsultacje, narady, deliberacje, debaty, obywatelskie inicjatywy ustawodawcze), ale nigdy nie były złożone w jedną całość, sekwencję, proces, melodię. Wierzę, że przekonanie, zapał, możliwość polegania na sobie nawzajem, umiejętność szybkiego uczenia się i improwizacji (czyli to, czego nie brakuje w działaniach obywatelskich) pomoże nam wykonać to trudne zadanie.



# **CZĘŚĆ 2.**

## **Co chcemy osiągnąć?**

---

**P**ora nareszcie – po wprowadzeniach, wyjaśnieniach i zastrzeżeniach – przejść do rzeczy. Niniejszy dokument ma dwie kluczowe części – najpierw opowiem o tym, CO chcemy osiągnąć, a później odniosę się do nieco trudniejszej kwestii: JAK uruchomić ten proces.

Ale kim jesteście MY? No cóż... To się dopiero okaże, ale ważne jest zapewnienie, że poniższa propozycja nie jest próbą powołania żadnego nowego podmiotu. To, co tu opisuję, to PROCES, który jak sądzę, mógłby pomoc połączyć „w całość” działania licznych podmiotów już istniejących.

**Modelowy cykl: pięć kroków** Trzeba mieć odwagę wyobrazić sobie, że w czasie, który dzieli nas od wyborów (ale także później), regularnie i w przewidywalny, cykliczny sposób, staramy się wspólnie formułować propozycje rozwiązań w ważnych kwestiach publicznych. Że czynimy to w oparciu o skoordynowany, dobrowolny wysiłek wielu różnych instytucji i środowisk działających zarówno na poziomie krajowym, jak i lokalnym. To działanie prowadzone jest w formie kolejnych podobnych

do siebie cykli – od diagnozy do rozwiązania. To ruch kolisty, postępowy.

Za każdym razem diagnozujemy, szukamy i staramy się uzgodnić najlepsze i społecznie legitymizowane rozwiązania na poziomie systemowo legislacyjnym – i zabiegamy o ich wdrożenie. Jednocześnie szukamy dostępnych rozwiązań praktycznych (dobrych praktyk), które mogą uruchamiać sami obywatele w oparciu o swe własne wysiłki – nawet wtedy, kiedy nie udaje się zmienić rozwiązań na poziomie systemowym.

Podstawowym wyzwaniem tego przedsięwzięcia (a jednocześnie jego potencjalnie największą siłą) jest to, że wymaga on kolektywnego działania wielu partnerów. Gotowość i zdolność do takiej pracy nie mogą być uzyskane w żaden inny sposób (w szczególności przez jakiegokolwiek formy hierarchicznego, centralnego zarządzania) niż w ten, że uczestnicy uznają, że dopiero wspólne ich wysiłki układają się w rozsądną, skuteczną całość. Żeby dotrzeć do tej skądinąd przewidywalnej konstatacji, wielu z nas musiało w ostatnim czasie doświadczyć gorzkiego odkrycia, że żadne działania w pojedynkę („solo”) nie okazują się skuteczne.

Uczestnicy przedsięwzięcia mogą się w nie włączyć jedynie w sposób dobrowolny i podmiotowy – świadomi faktu, że swoje zaangażowanie muszą w dużej mierze opierać o własne zasoby. To rodzaj obywatelskiej kooperatywy, w której każdy musi coś dać, żeby coś otrzymać. W tym działaniu uczestnicy nie mają się poddawać jakiemuś kierownictwu, a raczej wpisywać się w logikę tego przedsięwzięcia – rozumieć i kształtować ją.

Rzecz jasna, to, co opisane jest poniżej, to tylko pewna propozycja. Można ją skalować, modyfikować – być może zaproponować inną – ale z pewnością warto szukać jakiegoś scenariusza, który pozwala wyznaczyć „podział pracy” między poszczególne środowiska, a jednocześnie złożyć później „części w całość”.

Istotą przedsięwzięcia jest uruchomienie serii cyklicznych procesów namysłu nad ważnymi (zgoła fundamentalnymi) kwestiami dotyczącymi spraw publicznych. W każdym z nich wychodzimy od diagnozy,

**Częścią polskiego problemu jest to, że nie potrafimy się różnić, że unieważniamy się wzajemnie. Dlatego wiele z kwestii, które proponuję jako przedmiot rozmowy, nie ma szczególnego politycznego koloru. Tak samo wszystkich nas dotyczą: kwestia klimatu, jakość edukacji naszych dzieci, stan służby zdrowia itd.**

a kończymy na możliwie dojrzałych propozycjach rozwiązań. Poniżej opisuję, jak mógłby wyglądać pojedynczy cykl (trwający zapewne nie krócej niż kilka miesięcy), w którym trwają prace nad jednym wybranym tematem. Takie cykle należałoby powtarzać i trenować – jako stały element gry (całość i poszczególne jego części). Kolejne cykle powinny być możliwie przewidywalne co do czasu i tematu. Ważne, żeby ich urobek odkładał się na osi czasu. Jak mogłoby to wyglądać?

**Krok 1: wybór tematu** Po pierwsze, trzeba wybrać temat cyklu. To samo w sobie nie jest łatwym zadaniem. Wiele spraw wydaje się bardzo pilnych i bardzo ważnych. Trzeba jednak pamiętać, że kwestiami „procedowanymi” w opisanym tu mechanizmie powinny być sprawy, w których istotną wartością dodaną jest element obywatelskiej partycypacji.

Chodzi zatem o kwestie, które wykraczają poza zagadnienia ściśle techniczne – słusznie zarezerwowane dla ekspertów (w takim procesie nie wybiera się modelu śmigłowca). Chodzi raczej o te rozstrzygnięcia spraw, w których ważny jest mechanizm demokratycznej woli i legitymizacji wyników. Bardzo wstępną listę takich tematów umieszczam poniżej. Ważne też, żeby, na ile to możliwe, nie zaczynać od kwestii, które dają się łatwo wpisać w bipolarną logikę rządzący–opozycja (są niejako „skrośne”).

Nie oznacza to, że kwestii polaryzacyjnych poruszać nie należy – są one nieuchronne. Dobrze jednak byłoby mierzyć się z nimi wtedy, kiedy opanujemy choćby podstawowe techniki i skrypty. Tak jak w każdym trudnym i ryzykowanym przedsięwzięciu – warto zacząć od „ćwiczenia upadków”, żeby nie okazały się fatalne w skutkach.

Wybieranie tematu samo w sobie mogłoby być przedmiotem partycypacyjnego procesu. Od tego np. zaczął się w 2011 r. proces G-1000 w Belgii. Tam grupa obywateli działających oddolnie zbudowała całoroczny proces namysłu nad różnymi sprawami publicznymi. Przy okazji warto wiedzieć, że owe 1000 osób zostało wylosowanych.

W Polsce jest oczywiście wiele spraw, które nas dotyczą i które nas poruszają. Wszystkie wydają się pilne i ważne. Jesteśmy wręcz

przebudźcowani. A to czasem oznacza, że angażujemy się w zbyt wiele, impulsywnie – siłą rzeczy na krótko, emocjonalnie, nieskutecznie, wypalamy się. Owszem poruszają nas powiewy wiatru, ale miotają nami jak liśćmi. To krótki, chaotyczny lot. Czasem jesteśmy już w fazie, w której czujemy, że to wszystko nas przerasta, w fazie „chowania się pod kołdrę” albo dbania wyłącznie o swoje sprawy, generalnie „odłączenia się” i udawania, że sprawy wspólne nas nie dotyczą – lub: owszem dotyczą, ale nie mamy na nie żadnego wpływu, więc najlepiej jest przeczekać.

A jednak żeby opisane przedsięwzięcie miało sens i odpowiednią energię, musi każdorazowo wzbudzić zainteresowanie wystarczającej (choć niekoniecznie bardzo licznej) grupy uczestników. Chodzi o zainteresowanie konkretnym tematem – w każdym cyklu innym. Bez tego „wiatru” nasz szybowiec nie ma szans unieść się w powietrze. Inaczej się nie da.

Podstawowym warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia jest pojawienie się dostatecznej dawki „świeżego powiewu” – obywatelskiego zaangażowania. Taki wiatr pojawia się zawsze niejako naturalnie w sezonach wyborczych (zgoła huragan) albo w sytuacjach szczególnych i granicznych, np. strajk nauczycieli, protest kobiet albo konieczność zmierzenia się z konsekwencjami jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia, np. kataklizmu, zamachu, narodowej traumy. Trudniej o ten wiatr w okresach „pomiędzy”, ale trzeba go jednak szukać, trzeba go zaklinać. Bez tego ani rusz.

Są owszem kraje, w których tego rodzaju procesy mają inne źródła energii (inny silnik). Mają tam licznych, potężnych patronów i sponsorów – instytucje państwowe.) W ślad za tym idzie potężne wsparcie instytucjonalne, finansowe, medialne etc. Nie mamy i nie będziemy mieć możliwości dysponowania żadną z tych rzeczy. Nic nie kupimy i nie zamierzamy nawet kupować. Możemy tylko prosić i pozostawać z nadzieją, że znajdzie się dość instytucji i osób, żeby uruchomić ten proces. To nie będzie łatwe, bo nie oferujemy wiele w zamian (to nie jest obietnica zdobycia władzy, podziału łupów, zysków, stanowisk). Tu poszukujemy w pewnym sensie aktów politycznego altruizmu

–zaangażowania w sprawy publiczne nie dla osobistej korzyści, ale dla szerszej rozumianego dobra publicznego.

Co może wobec tego być przedmiotem rozmowy? Poniższa lista ma charakter wyłącznie ilustracyjny. Każdorazowo wymaga uszczegółowienia. Oczywiście mogą się na niej pojawiać nowe elementy. Szczególnie sytuacje tworzyłby ewentualny zamiar zmian w Konstytucji. W oczywisty sposób powinny być one przedmiotem szerokiej społecznej debaty[4], zanim staną się przedmiotem referendum.

## Przykłady tematów

---

Ubóstwo energetyczne

---

Ład medialny (rola i powody istnienia mediów publicznych)

---

Dostęp do usług publicznych

---

Solidarność międzypokoleniowa / wiek emerytalny

---

Niezbędne reformy w systemie służby zdrowia i zdrowia publicznego

---

Kryzys dziecięcej opieki psychiatrycznej

---



---

Bezpieczeństwo / wolność osobista / skala przyzwolenia na inwigilacje

---

Polityka mieszkaniowa / wykluczenie mieszkaniowe

---

Opieka nad osobami w wieku sędziwym, „koniec życia”

---

Edukacja po „reformie”, edukacja po pandemii

---

Praca – nowe formy pracy i ich regulacja, mechanizmy wynagradzania, koszty pracy, jej jakość i sens

---



---

Kwestie ustrojowe – równowaga władz, ewentualne zmiany materii konstytucyjnej

---

Restart gospodarki po COVID-19

---

Realna naprawa systemu sądownictwa

---

Zmiany w ordynacji wyborczej, np. wprowadzenie systemu Single Transferable Vote

---

Energetyka – suwerenność / odnawialność / odpowiedzialność Polski w skali globalnej

---

[4] Ów moment konstytucyjny, gdyby się pojawił, powinien być przedmiotem cierpliwie wypracowanej umowy społecznej, w ramach której uzgadniane są reguły gry – w tym te najważniejsze: jak funkcjonować na jednym terytorium mimo tego, że nieuchronnie różni i będzie nas różnić tak wiele. Praca nad Konstytucją w oczywisty sposób wymaga namysłu prawników, polityków i ekspertów, ale musi być też zakorzeniona w wyborach i przekonaniach tych, których dotyczy (tylko wtedy będą ją szanować). Stąd kluczowe jej rozstrzygnięcia powinny być wynikiem obywatelskiej partycypacji. Konstytucja z samej swej natury jest dokumentem normatywnym, ale nie może być tylko dokumentem „dydaktycznym”. Musi być także wynikiem społecznych wyborów, np. w ostatnich latach w Islandii rodzaj konstytuandy opierał się na reprezentatywnej grupie losowej.



Wyzwania klimatyczne / transformacja energetyczna	Nierówności i wykluczenie społeczne (w tym wykluczenie terytorialne)	Aktywizacja obywatelska w Polsce – nowe kanały ekspresji interesów – nowe reguły dialogu społecznego i obywatelskiego
Stosunki Państwo-Kościół	„Gorące” kwestie światopoglądowe (związki partnerskie, prawo do aborcji i jej ograniczenia etc.)	Sposoby „zszywania” Polski: czy potrzebna nam jest narodowa terapia / kolejny okrągły stół / odpowiedzialność rządzących za stan, w jakim zastali kraj i w jakim go zostawiają?
Przyszłość Europy i przyszłość Polski w Europie		
Polityka migracyjna i humanitarny wymiar kwestii uchodźczej		

Kolejność tematów nie jest obojętna. Jedną z propozycji dotyczących tego, od czego zacząć (wykonać pierwszy pilotażowy cykl), to kwestia ubóstwa energetycznego. Sprawa ta bardzo dobrze nadaje się na początek. Dotyczy ona w Polsce kilku milionów obywateli. Spełnia warunki opisane wyżej. Niełatwo ją przetransponować na podziały zwolenników i przeciwników aktualnej władzy. W tej zresztą sprawie można wręcz wyobrazić sobie jakąś formę współpracy z rządem (precyzyjnie: z Ministerstwem Klimatu). Zresztą, ogólnie rzecz biorąc, do wyobrażenia jest współpraca z resortami, które mierzą się z realnymi wyzwaniami i problemami – w odróżnieniu od tych, które same są zasadniczym problemem, np. Ministerstwo Sprawiedliwości czy Rada Mediów Narodowych (tu raczej nie znajdziemy wspólnego języka).

Kwestia ubóstwa energetycznego dotyczy bezpośrednio szerokiego grona osób w wielu (właściwie wszystkich) miejscach w Polsce. Powodów, dla których warto poważnie zmierzyć się z tym zagadnieniem, może być kilka. Po pierwsze, sytuacja pandemii i post-pandemii (włączając recesję), bowiem tu bardzo ważne okażą się konsekwencje np. ubóstwa materialnego, ale także jeszcze trudniejszy niż dotychczas dostęp do osób starszych, w szczególności mieszkających samotnie na terenach wiejskich (tam poziom ubóstwa energetycznego jest szczególnie dotkliwy).

Po drugie, istotną szansą może być zwrot w sposobie myślenia o warunkach odporności lokalnych społeczności. Chodzi o atrybut



samowystarczalności, cyrkularności itd. Istotna część pomysłów na mierzenie się z ubóstwem energetycznym polega na formach lokalnej zaradności – spółdzielnie energetyczne, energetyka obywatelska, pomoc sąsiedzka itp.).

Po trzecie, istotny jest też kontekst Zielonego Ładu. To właśnie w tej chwili prowadzone są prace nad Umową Partnerstwa oraz tzw. Krajowym Planem Odbudowy. Ten ostatni to ponad 200 mld zł, które mają być przeznaczone nie tylko na łagodzenie strat wywołanych pandemią, ale także na uzyskanie nowych form odporności na przyszłe nieuchronne kryzysy. Innymi słowy, dostępne będą zasoby konieczne do mierzenia się z wyzwaniem, jakim jest ubóstwo energetyczne. Ważne jest również to, że pomimo iż problem ten dotyczy kilkunastu procent mieszkańców, to bez skutecznych mechanizmów mierzenia się z tym wyzwaniem nie będzie możliwe realne rozwiązywanie innych wyzwań, które dotyczą większości, np. kwestia jakości powietrza.

Jest wreszcie w tej sprawie jeszcze jeden ważny aspekt, tym razem czysto polityczny. Kwestia ubóstwa energetycznego ma olbrzymi potencjał stania się czymś w rodzaju zapalnika i paliwa dla ugrupowań populistycznych w Europie. Część z nich ma charakter organiczny i spontaniczny. Rzeczywiście nietrudno wyobrazić sobie gniew ludzi pouczanych przez lepiej sytuowanych właścicieli elektrycznej Tesli w sprawie naganności używania diesla, którym muszą dojechać do pracy z przedmieścia do miasta (warto pamiętać, że bunt „żółtych kamizelek” we Francji miał taki właśnie zapalnik). Analogiczna sytuacja może dotyczyć tych, których stać na nowoczesne systemy zaopatrywania w energię i mieszkanie w dobrze izolowanych budynkach, i będą domagać się, aby tak samo postępowali np. mieszkańcy indywidualnych budynków na terenach wiejskich, z których większość nie nadaje się nawet do modernizacji, a których ogrzewanie musiałoby kosztować bardzo dużo.

Tym wszystkim osobom, którzy „zostawać będą z tyłu”, będzie można łatwo wmówić, że dzieje się tak na skutek działalności elit, które – działając dla swoich interesów – pozbawiają nas suwerenności energetycznej opartej o dany nam, jako narodowy skarb, węgiel. Ten rodzaj

**Spotkanie mimo różnic jest konieczne. To będzie trudne. W końcu jednak kiedyś każda ze stron będzie musiała zdobyć się nie tylko na wybaczenie, ale na coś znacznie trudniejszego – prośbę o wybaczenie. Nie musimy się kochać, ale musimy umieć żyć w pokoju.**

działania znajdzie wielu chętnych sponsorów zarówno politycznych, jak i biznesowych, zarówno krajowych, jak i zagranicznych.

## **Krok 2: diagnozowanie i mapowanie (Księga Zielona)**

Po wybraniu tematu staramy się zgromadzić możliwie najlepszy materiał diagnostyczno-opisowy. Dokonujemy możliwie najpełniejszej inwentaryzacji – mapowania interesariuszy związanych z danym zagadnieniem. Informujemy ich o procesie i staramy się wskazać momenty, w których mogą się w proces ten włączyć.

Spośród nich staramy się zbudować grupę partnerów, którzy pomogą zrealizować to przedsięwzięcie. Partnerzy ci występują w bardzo różnych rolach (i nie powinni ich mieszać). Zacząć trzeba od instytucji, które gotowe są wspierać ten proces niejako horyzontalnie [5] (spinać go w całość i dostarczać konkretnych narzędzi partycypacji), poprzez takie, które pozwalają docierać do środowisk lokalnych [6], aż do tych, które związane są z konkretnymi cyklami tematycznymi.

Faza diagnostyczna ma na celu zgromadzenie i ekspozycję materiałów eksperckich oraz ilustracji i świadectw pochodzących od środowisk, których kwestia ta w praktyce dotyka lub dotknąć może. To także ważna faza edukacyjna.

Dobrze byłoby, żeby w tym czasie różne środowiska i media zechciały przekierować część swojej uwagi na to właśnie zagadnienie (niejako „dotlenić” i „doświetlić” ten proces). Działania w tej fazie kończy stworzenie czegoś w rodzaju Zielonej Księgi.

Oczywiście nie trzeba traktować wydawania księgi dosłownie. W praktyce powinny to być materiały zebrane i dostępne w specjalnie w tym

[5] Przykładowo: Laboratorium „Więzi” i jego Projekt Oczyszczalnia, Komitet Dialogu Społecznego KIG, Fundacja Stocznia, Fundacja Batorego, Open Eyes Economy Summit, Stowarzyszenie 61, oraz ważne „węzłowe” organizacje lokalne itd.

[6] PAFW poprzez program Działaj Lokalnie, Fundacja Batorego przez program Masz Głos Masz Wybór, Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informatycznego, Sieć WatchDog, Pracownie Fundacji Orange, Kongres Ruchów Miejskich itd.

celu uruchomionym portalu, czymś w rodzaju wszechnicy – miejsca, w którym zbierana jest i udostępniana wiedza (fakty i opinie) dotyczące konkretnego zagadnienia. To może być selekcja materiałów pisanych, ale także ewentualnie seria tematycznych prezentacji dotyczących konkretnego problemu i dostępnych rozwiązań. Wszystkie prezentacje powinny być bardzo dobrze przygotowane i bardzo bogate informacyjnie. Powinny być inspirujące i pobudzać do myślenia. W pewnym sensie powinny być motywacyjne.

Zdarzenie to powinno mieć zespół „kuratorów”. Wszystkie dane, prezentacje i towarzyszące im materiały powinny być dostępne w formie dobrze uporządkowanych zasobów, które tworzyć mają trwałe zaplecze (źródło referencji) dla kolejnych kroków procesu. W ramach tego przedsięwzięcia wyraźnie odróżnić trzeba część opisową (diagnostyczną) od części prognostyczno-rekomendacyjnej. W wystąpieniach poza wypowiedziami ekspertów musi być miejsce na prezentacje doświadczeń praktyków, a także świadectwa osób indywidualnych czy studia przypadków.

Szczególnie ważna będzie prezentacja, która opowiada o całym procesie – objaśnia jego intencje, reguły, kalendarz, zaprasza do włączenia się w proces.

**Krok 3: poszukiwanie rozwiązań (Księga Biała)** Na tym etapie (pewne jego elementy pojawią się wcześniej) staramy się uzyskać ze strony środowisk eksperckich opcje możliwych rozwiązań (rodzaj Białej Księgi). Najlepiej gdyby miały one charakter możliwie całościowych „podejść”/strategii/paradygmatów: sformułowanych jako alternatywy albo-albo (dylematów, trylematów itd.) Mogą też mieć formę różnego rodzaju działań/projektów/rekomendacji (lista wyboru). W tym momencie powinny też pojawiać się wstępne analizy dotyczące skutków każdego z tych rozwiązań.

Kluczowe jest tu zaangażowanie poszczególnych środowisk eksperckich (think tanków, środowisk akademickich, ekspertów, środowisk branżowych, np. grup zawodowych czy branżowych, a także środowisk politycznych). Takich instytucji jest sporo – w przypisie wymieniam

przykłady takich organizacji[7]. Nie zostało to uzgodnione z nimi – to wyłącznie hipotezy. Mogę mieć tylko nadzieję, że przynajmniej część z nich zechce się włączyć w to przedsięwzięcie.

Ten proces mógłby mieć charakter w pewnym sensie rywalizacyjny[8]. W ambitnym wariacie poszczególne środowiska powinny móc liczyć na wsparcie (w tym niewielkie granty) po to, aby zrekompensować czas, jaki potrzebny jest na sformułowanie propozycji. Oczywiście warto takiego wsparcia udzielać tym, którzy nie mają własnych zasobów na prowadzenie tego rodzaju działań. W takim procesie chodzi raczej o to, żeby wyrównać szanse w stosunku do dobrze zorganizowanych grup interesów lub potężnych instytucji, w szczególności tych, których opinie są znane od dawna i przewidywalne. Dobrze byłoby dopuścić także nowe „impulsy”.

Propozycje rozwiązań nie zawsze muszą dotyczyć rozstrzygnięć na poziomie legislacyjnym i systemowym. Warto szukać też dobrych pomysłów i praktyk, które pojawiają się niejako oddolnie, lokalnie, środowiskowo. Te określić można często jako „autopostulaty” – czyli działania, które można podejmować samodzielnie w ramach (albo

[7] Na prawach przykładu: CASE, Centrum Analiz Ekonomicznych (Ce-nEA), Centrum im. A. Smitha, Centrum Stosunków Międzynarodowych, Forum Analiz Energetycznych / Forum Energii, Forum Obywatelskiego Rozwoju, Forum odNowa, Fundacja GAP, Fundacja e-Państwo, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Kaleckiego, Fundacja Republikańska, Fundacja Służby Rzeczypospolitej, IBNGR, INPRIS, INSPRO, Instytut Badań Strukturalnych, Instytut Obywatelski, Instytut Allerhanda, Instytut Jagielloński, Instytut na rzecz Ekorozwoju, Instytut Sobieskiego, Instytut Spraw Publicznych, Instytut Studiów Strategicznych, Instytut Studiów Zaawansowanych (Krytyka Polityczna), Klub Jagielloński, „Magazyn Kontakt” (KIK), „Kultura Liberalna”, Laboratorium „Więzi”, Liberte, Międzynarodowy Instytut Społeczeństwa Obywatelskiego, MSK, „Nowa Konfederacja”, „Nowy Obywatel”, OSK, Ośrodek Myśli Społecznej im. Lassalle’a, Polityka Insight, Projekt Polska, Res Publica Nowa, Stowarzyszenie Polska 2050, Teologia Polityczna, ThinkTank, WISE Europa i wiele, wiele innych, w tym instytucje rządowe, np. Ośrodek Studiów Wschodnich czy Polski Instytut Ekonomiczny.

[8] Pewną inspiracją może być prowadzony od jakiegoś czasu wspólny projekt pięciu redakcji o nazwie „Spięcie” ([https://pl.wikipedia.org/wiki/Projekt\\_Spi%C4%99cie](https://pl.wikipedia.org/wiki/Projekt_Spi%C4%99cie)), w szczególności ostatnia edycja dotycząca właśnie kwestii transformacji energetycznej w Polsce <https://krytykapolityczna.pl/projekt-spiecie/>.



pomimo) istniejących rozwiązań systemowych. Część z nich może być zresztą podstawą (prototypem) rozwiązań systemowych. Powinniśmy starać się stworzyć publicznie dostępne repozytorium dobrych praktyk[9].

Na tym etapie warto zabiegać o sformułowanie własnych propozycji lub wyrażenie swojego zdania ze strony partii politycznych i przedstawicieli władz. Takie „odstuchanie” powinno mieć formę publiczną. Oczywiście w czasach pandemii może się okazać, że miejsce nie ma znaczenia, ale – zakładając, że warunki naszego życia zbiorowego choć częściowo wrócą do normy – warto zabiegać, żeby taka prezentacja odbywała się przed publicznością w różnych miejscach Polski (poza Warszawą, a nawet poza metropoliami), np. w miejscowościach takich jak Łomża, Białystok, Gorzów Wlkp., Wałbrzych lub inne aktualne lub były miasta wojewódzkie.

I nie chodzi tu bynajmniej o to, żeby prowadzić rodzaj „obwoźnej debaty”, w której rola lokalnych środowisk sprowadza się do zapewnienia sali i audytorium. Im dłużej myślę o całym przedsięwzięciu, tym bardziej oczywiste staje się dla mnie, że ma on sens i szansę tylko wtedy, jeśli istotnie oprze się na poczuciu sprawstwa ze strony choćby nielicznej, ale silnej i przekonanej do tego grupy kilku środowisk pozawarszawskich. Może całe przedsięwzięcie powinno mieć nawet formę „wędrującego przywództwa” – oczywiście to jednocześnie wyzwanie, ale i wzmocnienie lokalnych środowisk. Może już czas skończyć z modelem działania „Cały naród buduje swoją stolicę”.

Rozwiązanie takie – a zatem spotkanie liderów partii dotyczące konkretnego tematu – miałoby jeszcze taką zaletę, że regularnie dostarczałoby okazji (w pewnym sensie neutralnej, czyli takiej, w której nie trzeba się mierzyć z niewygodnym pytaniem, „kto zaprasza kogo”) do spotkań liderów, członków i sympatyków różnych ugrupowań. Takich spotkań brakuje. Problemem jest raczej to, że często pomysły na wspólne działanie partii są trudne lub zgoła niemożliwe do realizacji tylko z powodu swoiście rozumianej zazdrości o to, że z pomysłem na współdziałanie wychodzi polityczny konkurent. Żeby uniknąć

[9] Ciekawym przykładem tego rodzaju repozytorium (ponad 800 przykładów) jest baza danych prowadzone przez holenderskie zrzeszenie samorządów (<https://vng.nl/overzicht-praktijkvoorbeelden>).



**Istotą tego pomysłu jest uruchomienie serii cyklicznych procesów namysłu nad fundamentalnymi kwestiami dotyczącymi spraw publicznych. W każdym z nich wychodzimy od diagnozy, a kończymy na możliwie dojrzałych propozycjach rozwiązań.**

tej trudności, potrzebne jest zaproszenie przychodzące od kogoś innego.

Ważne jest również to, że w proponowanej tu debacie można będzie przekonać się, w jakich sprawach poszczególne partie różnią się, a w jakich są zgodne. To bardzo ważne, bo od dawna o tego rodzaju ustalenia trudno na terenie Parlamentu. Spotkanie może mieć też taką zaletę, że pozwoli poszczególnym politykom zaistnieć niejako samodzielnie (a zatem więcej niż jako część sejmowej arytmetyki osób głosujących zgodnie z instrukcjami). W Parlamencie coraz rzadziej dochodzi do choćby nieformalnych kontaktów między przedstawicielami pozostających w opozycji partii. Są one podzielone nie tylko na sali sejmowej, ale mają też całkiem oddzielne „szatnie i stoliki na stołówce”. Wszystko z obawy przed tym potencjalnym niebezpiecznym odkryciem, że może w czymś mogliby się zgodzić z konkurentami. W Łomży będzie łatwiej.

Myślę, że nie jest zbyt wysokim oczekiwaniem, żeby prominentni liderzy partii regularnie (np. raz na kwartał) publicznie prezentowali swoje propozycje w konkretnych kwestiach. Nie muszą zresztą być w tej sytuacji sami – mogą pojawiać się wraz ze swoimi ekspertami. Tu ważne są odpowiednia oprawa i sposób prowadzenia debaty, odpowiedni czas na wypowiedzi i dyskusje między uczestnikami. Istotne, żeby wyznaczała ona znacznie wyższe standardy niż można obejrzeć w Parlamencie czy w TVP. Ważne też, aby do udziału w tym przedsięwzięciu namówić media i dziennikarzy obdarzonych możliwie największym autorytetem.

**Krok 4: czas obywateli** Ważnym składnikiem całego przedsięwzięcia jest szeroko rozumiana partycypacja obywatelska. Chodzi o znacznie więcej niż bycie audytorium dla prezentacji wywodów ekspertów i polityków – choć i ono jest ważne, bo wyrabia zasadniczą kompetencję obywatelską: zdolność do oceny rządzących i roztropnych wyborów.

Partycypacja obywatelska może mieć bardzo różne formy. Można po nie sięgać na różnych etapach: od fazy diagnostycznej poprzez

formułowanie i wdrażanie rozwiązań, aż po dawanie politycznego impulsu (np. w formie petycji czy obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej). W fazie pracy nad rozwiązaniami można zasugerować przynajmniej cztery formy takiego zaangażowania.

**1. Wysłuchania obywatelskie** Stosunkowo najprostsza z form to wysłuchanie obywatelskie – prowadzone w przestrzeni publicznej, oparte o czytelne i ściśle przestrzegane zasady: każdy może się zgłosić, każdy ma prawo wypowiadać się raz w oparciu o te same reguły i ten sam czas, kolejność wystąpień jest losowana (przykłady: <https://www.wysluchanieobywatelskie.pl/>, <https://www.wysluchanieplanodbudowy.pl/>)

**2. Narady obywatelskie** Tą nazwą chciałbym objąć różne formy rozmów „rozproszonych”, to znaczy prowadzonych w różnych miejscach i różnych środowiskach, ale dotyczących tego samego tematu. Co do zasady chodzi o to, aby w oparciu o przygotowane formaty każdy (środowisko, instytucja, a nawet grupy sąsiedzkie) mogły zastanowić się nad przedstawionymi propozycjami lub sformułować własne. Czasem wystarczające jest to, że po prostu porozmawiają w swoim gronie – choćby po to, żeby pomóc sobie wzajemnie zrozumieć istotę zagadnienia, a także umieć pogodzić się z faktem (czy nawet docenić ów fakt), że różnie o nich myślimy.

Tu za wzór mogą służyć np. tzw. Dialogi publiczne (wg metodologii norweskiej organizacji *Nansen Center for Peace and Dialogue*), a w Polsce inicjatywa „Wyłącz ego. Zrozum drugiego” (<https://www.zrozumdrugiego.pl/>), jak również inne metody służące wspólnemu celowi, jakim jest „rozmowa mimo różnic” (wspierane między innymi przez Fundusz Obywatelski, <https://www.funduszobywatelski.pl/>).

Za ciekawy wzór można też uznać amerykański projekt o wiele mówiącej nazwie *Living Room Conversations* (<https://livingroomconversations.org/topics/>). Dość podobny (choć nieco bardziej ustrukturyzowany i zmierzający nie tylko do rozmów, ale też „agregacji” ich wyników) jest model różnego rodzaju narad obywatelskich. Ciekawy

i bardzo użyteczny jako inspiracja jest również amerykański model *National Issues Forum* <https://www.nifi.org/>, który mniej więcej raz do roku „woduje” jeden ważny publicznie temat oraz w oparciu o przygotowane materiały (dla uczestników i moderatorów) organizuje rozmowy na dany temat i zbiera ich wyniki w postaci ankiet przekazanych przez uczestników. Biuro organizacji mieści się w bezpośrednim sąsiedztwie Kapitolu i tam też trafiają rezultaty całego przedsięwzięcia.

W Polsce taki oddolny model ćwiczony był przy okazji tzw. Narady Obywatelskiej o Edukacji (2019). W ramach tego całkowicie spontanicznego współdziałania wielu środowisk w ponad 150 miejscach w Polsce odbyły się rozmowy i wzięło w nich udział ok 4,5 tys. osób. Analiza ich postulatów i pomysłów dostępna jest na stronach <https://www.naradaobywatelska.pl/>. Model ten od początku przewidywał możliwe zastosowanie w innych tematach „Narad Obywatelskich o...”.

Oczywiście czymś w rodzaju niedoścignętego horyzontu jest przykład Narodowej Debaty zorganizowanej w 2019 r. we Francji przez Prezydenta Macrona (ponad 10 tys. spotkań lokalnych) <https://granddebat.fr/>. Kto wie, może kiedyś... Póki co musimy zrobić to siłami społecznymi. Bardzo ważne byłoby w tym względzie zaangażowanie poszczególnych samorządów i ich stowarzyszeń – zarówno tych, które istnieją od dawna, jak i tych które powstały bardzo niedawno.

**3. Mikro-Republika (grupy losowe)** Tu chodzi o coraz popularniejsze sposoby formułowania poglądów na sprawy publiczne w oparciu o poglądy losowo wybranej grupy obywateli. Metody te łączy to, że opierają się na losowaniu, ale różnią się bardzo, jeśli chodzi o działania towarzyszące formułowaniu opinii przez uczestników.

Paleta możliwych działań rozciąga się od tradycyjnych badań opinii publicznej (nie o nie tutaj chodzi) poprzez różne formy edukacji obywatelskiej adresowanej do uczestników grupy i różne formy deliberacji (np. jak ma to miejsce w przypadku *Civic Assembly* – Irlandia, Islandia, British Columbia) aż po panele obywatelskie, sondaże deliberatywne, komórki planujące itp. Niektóre z nich stosowane są dla spraw drobnych i lokalnych, inne dla kwestii fundamentalnych, wręcz konstytucyjnych

**Ten projekt to szansa na to, żeby przekonać się, gdzie my, Polacy, różnimy się naprawdę, a gdzie nas poróżniono.**

(np. Islandia, Irlandia). Z wieloma z nich można zapoznać się np. na prowadzonym przez Fundację Stocznia portalu <https://partycypacjaobywatelska.pl/strefa-wiedzy/techniki/>. To tylko jeden z adresów, gdzie warto szukać informacji. Ostatnio szczególnie eksponowane były krajowe panele klimatyczne w Wlk. Brytanii i Francji. W Polsce takie przedsięwzięcia były prowadzone w niektórych miastach (ostatnio w Warszawie). Może czas na przedsięwzięcie ogólnopolskie?

Wokół konceptu partycypacji obywatelskiej wyrosło w ostatnich latach w Polsce szerokie środowisko osób i instytucji. Dość powiedzieć, że obecnie kilkaset osób uczestniczy corocznie w Forach Praktyków Partycypacji (działają zarówno w organizacjach, jak i w administracji samorządowej). Ich wkład w działanie przedstawianego tu pomysłu mógłby mieć kapitalne znaczenie.

W obecnych warunkach i przy ograniczonych środkach warto rozważyć powołanie czegoś, co określiłbym jako rodzaj panelu Mikro-Republiki (ta sama reprezentatywna grupa osób względnie regularnie badana pod kątem ich opinii). Formułowanie takiej opinii byłoby jednak poprzedzone udostępnieniem materiałów merytorycznych, możliwością zadawania pytań i jakąś formą wymiany opinii. Taki panel „wielokrotnego użytku” mógłby być uruchamiany np. raz na kwartał. Przypominałby on nieco irlandzką „trzecią izbę parlamentu”, która zajmuje się kolejnymi zagadnieniami (między innymi „przepracowała” istotne kwestie konstytucyjne). Oczywiście nie mamy takich środków (diety dla uczestników, zakwaterowanie w czasie weekendowych posiedzeń, dostęp do sali Parlamentu). Rzecz jasna, w naszych warunkach system musiałby być zredukowany do naszych możliwości, ale nie jest niemożliwy.

**4. Płynna demokracja (demokracja delegatywna)** Ta nieco egzotyczna nazwa oznacza po prostu kolejną próbę rozwiązania powtarzającego się problemu, jaki stanowi stworzenie systemu skutecznej reprezentacji w grupach, których rozmiar znacznie wykracza poza to, co w klasycznych (antycznych) modelach zakreślają granice arystotelesowskiej *polis*. Status obywatela w Ateny w czasach Peryklesa miało około 50 tys. mężczyzn. Miasto-państwo w tym kontekście



trzeba czytać nieomal dosłownie jako państwo wielkości miasta (a i to znacznie mniejszego niż współczesne metropolie). Nawet miasta są obecnie za duże (dlatego może modna jest ostatnio koncepcja miasta 15-minutowego – miasta podzielone są na mniejsze, względnie kompletne „monady”).

Jak zatem rozwiązać problem realnego uczestnictwa w decydowaniu o ważnych sprawach w społecznościach, której członkowie nie zmieszczą się na żadnej agorze, a poza tym mają na głowie za dużo spraw, żeby spędzić tam cały dzień na przekonywanie się i przekrzykiwanie? Forma bezpośrednia – angażująca wszystkich – ma pewne deficyty. Można sięgnąć po referendum – plebiscyt (dosłownie: głos plebsu) – ale jest wiele spraw zbyt złożonych, żeby ryzykować takie rozwiązanie, a poza tym spraw do rozstrzygnięcia jest po prostu za dużo. Obecnie technicznie możliwe jest bowiem, żebyśmy głosowali nad absolutnie każdą kwestią za pomocą telefonu czy terminalu w bankomacie, ale byłoby to szaleństwo – kto chciałby żyć w takim miejscu? Żeby zredukować liczbę uczestników procesu, ale równocześnie podnieść jego jakość, można stosować różne metody. Pierwsza to wybory stałych przedstawicieli (radnych, posłów etc.); druga to losowanie (o tym była mowa wyżej), ale można spróbować czegoś jeszcze innego – i na tym właśnie polega pomysł „płynnej demokracji”.

O co chodzi z płynnością? Otóż w konkretnych kwestiach możemy niejako jednorazowo/tymczasowo powierzyć swój głos osobie lub instytucji, do której mamy zaufanie w tej konkretnej sprawie. To rodzaj jednorazowego upoważnienia w sytuacji, kiedy z jakiegoś powodu nie mamy dostatecznych kompetencji, żeby wypowiedzieć się w roztropny sposób. To oczywiście przecież, że nie możemy znać się na wszystkim. Całkiem oczywiste, że takiej zdolności nie mają też na ogół wybierani na 4 lata reprezentanci. To nie ich wina, tak po prostu jest. Często brakuje też po prostu czasu, żeby wyrobić sobie własny pogląd w świecie, w którym istnieje co prawda dużo źródeł informacji, ale ich autentyczność jest często wątpliwa. Zresztą wiele spraw jest bardzo złożonych. Dlatego każde przedsięwzięcie (także te bazujące na losowaniu) bezwzględnie musi zawierać etap

informacyjno-edukacyjny, musi też dawać czas na namysł i rozmowę. W dzisiejszych czasach to prawie luksus.

Dlatego powinniśmy dobrze dobierać sprawy, w których realnie mamy coś do powiedzenia. Czasem wynika to z własnego doświadczenia, np. jako rodzica, mieszkańca, konsumenta, kierowcy. W tych kwestiach znajdziemy wielu ekspertów-praktyków. Ale już np. w kwestii niezbędnych reform w sądownictwie wolałbym zaufać np. Stowarzyszeniu Wolne Sądy; w sprawie transformacji energetycznej – np. Polskiej Zielonej Sieci czy Alertowi Antysmogowemu; w sprawie opieki koniecznej ochrony dzieci przed przemocą – Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Pomysł polega właśnie na tym, że mój głos w konkretnej (i tylko tej) konkretnej sprawie mogę przekazać indywidualnej osobie lub instytucji. Dawniej z technicznych powodów takie „dynamiczne” delegowanie głosu było trudne – teraz jest proste.

Czasem ten model opisuje się jako demokrację delegatywną. Jest on szczególnie atrakcyjny dla dużych ruchów społecznych, pozwala bowiem utrzymać masowość, zaangażowanie i poczucie sprawstwa ze strony uczestników, a zarazem zapobiega lub choćby spowalnia procesy oligarchizacji (wyłonienie się zawodowych reprezentantów). Warto wiedzieć, że oryginalny model budżetu partycypacyjnego wywodzący się z Porto Allegre także opiera się na kolejnych uzgodnieniach delegatów pochodzących z małych społeczności. To nie jest całkiem nowe także w Polsce. Oczywiście łatwo znaleźć różne przykłady kompromitujące tego rodzaju zjazdy delegatów (tu także łatwo o patologie), ale można też znaleźć takie, które są budujące. Na przykład 40 lat temu właśnie w Polsce masowy ruch „Solidarności” wyłonił ok 900 delegatek i delegatów na swój pierwszy Zjazd, który odbył się w gdańskiej hali Olivii. To tam dopiero wybrano władze związku i tam uchwalono program „Samorządna Rzeczpospolita”[\[10\]](#).

[\[10\]](#) Kto jeszcze pamięta ten program? Spróbujcie go choćby znaleźć w internecie. Te 40 stron to było zbiorowe marzenie. Fakt, że powstał i sposób, w jaki powstał, był nadzieją dla Polaków i dla naszych sąsiadów. Nigdy się nie dowiemy, co wynikłoby z jego realizacji, bo dwa miesiące później na ulicach pojawiły się czołgi. Jednak część z jego postulatów, np. silna ustrojowa pozycja samorządu w Polsce po 1989 roku właśnie tam miała swój „punkt podparcia”. Czyli: marzyć jednak warto.

## CZĘŚĆ 2

### Co chcemy osiągnąć?

**Krok 5: sformułowanie „wynikowej” propozycji i troska o jej wdrożenie** Teraz zadanie być może najważniejsze i najtrudniejsze. Skutkiem opisanych wyżej procesów powinno być sformułowanie konkretnych propozycji rozwiązań. Jak była już o tym mowa, część z nich może mieć charakter całkiem praktyczny (często lokalny – dobre praktyki itp.). Na ogół chodzi jednak o sformułowanie propozycji rozwiązań o charakterze systemowym.

Ich wprowadzenie może, ale nie musi wymagać zmian legislacyjnych. Gdyby jednak tak było, zgodnie z dobrą praktyką oddzielić trzeba założenia do ustaw od pracy legislatorów, którzy powinni skonsumować je w formie projektu ustawy lub chociaż założeń, które umożliwiają jej stworzenie. Gdyby na tym etapie jako wynik procesu pojawiały się konkretne propozycje legislacyjne, warto zapytać, jak uprawdopodobnić ich wdrożenie. Można wskazać kilka mechanizmów

**1. Skierowanie do instytucji dysponującej inicjatywą ustawodawczą** Wyniki procesu i jego podsumowanie powinny dotrzeć nie tylko do opinii publicznej i wszystkich uczestników procesu, ale także do instytucji i środowisk dysponujących realnym sprawstwem (np. inicjatywą ustawodawczą). Być może któreś z nich podejmie się choćby próby ich wdrożenia.

Szczególnie istotna może być rola Senatu RP (np. Komisji ustawodawczej Senatu). Senat mógłby w oparciu o będące w jego dyspozycji zasoby (włączając w to Biuro Analiz Senatu oraz zespoły legislatorów) sformułować konkretne propozycje legislacyjne lub poprzeć te, które zostaną przygotowane przez innych. Ekspozycja wyników procesu przed Senatem powinna być czymś w rodzaju stałego elementu procesu. Dlaczego Senat? Chyba dlatego, że to właśnie on po ostatnich wyborach stać się miał przyczółkiem dla nadziei, że inna polityka jest możliwa... Póki co nadzieje te nie spełniły się. Szkoda.

Dla wielu opisywanych tu przedsięwzięć Senat mógłby być ważnym sojusznikiem i patronem. Zresztą nie dotyczy to wyłącznie tej jego kadencji. W moim przekonaniu ta izba powinna być czymś zgoła innym

**Złe nawyki polskiej polityki są mocno utrwalone. Ostatnie lata to prawie całkowity uwiąd myślenia strategicznego, systemowego i państwowego – zarówno po stronie rządu, jak i opozycji, ale także wielu innych środowisk opiniotwórczych. Dominuje dryf, zamiatanie pod dywan, kosmetyka, biegunka, kolejne „przykrywanie” jednych spraw drugimi.**

niż „przedłużenie” Sejmu. Oczywiście radykalna i trwała zmiana wymagałaby zmian konstytucyjnych, ale nawet w obecnym stanie kandydaci i kandydatki do Senatu mogliby być wyłaniani jako kandydaci wspólni na bazie porozumienia różnych środowisk politycznych. Taki obywatelski Senat miałby zupełnie inny charakter i mógłby stanowić realną izbę refleksji i coś w rodzaju pasów bezpieczeństwa w stosunku do działań Sejmu, gdzie wszyscy starają się złapać za kierownicę[11].

**2. Użycie mechanizmu petycji** Wsparcie dla projektu ustawy można też wyrazić na inne sposoby – od bardzo prostych do bardziej złożonych. Jedną z nich jest petycja. Może być ona prowadzona niejako poza oficjalnymi strukturami, np. w oparciu o jeden z portali służących zbieraniu podpisów pod petycją. Inna droga to uruchomienie formalnego procesu petycji, którego gospodarzem jest Senacka Komisja Petycji i Praw Człowieka. Reforma systemu petycji była wynikiem starań środowisk obywatelskich. Obecnie możliwe, ale rzadko wykorzystywane jest składanie tzw. petycji wielokrotnych (wspieranie petycji już złożonej). Senat ma moc kierowania petycji do właściwych instancji. Może też nieco bardziej stanowczo domagać się reakcji w sprawach, których petycja dotyczy.

Senat może też zająć się petycją samodzielnie i w oparciu o nią podjąć działania – w tym działania legislacyjne. Senat ma też skuteczne narzędzia dostępu do ważnych danych publicznych, które mogą być pomocne zarówno w diagnozie, jak i ocenie skutków regulacji. Senat mógłby też ustanowić praktykę np. taką jak w Estonii, gdzie stworzony

[11] To było możliwe także w ostatnich wyborach, ale nic z tego nie wyszło. Wbrew temu, co można czasem usłyszeć, pakt senacki mógł się zdarzyć, ale się nie zdarzył – w istocie ograniczył się do kilku przypadków, w których partie opozycyjne umówiły się, że nie będą konkurować i rozpraszać głosów. To zupełnie co innego niż poszukiwania wspólnych kandydatów. Wziąwszy pod uwagę obecną ordynację wyborczą, gdyby istotnie poszukać owych wspólnych (republikańskich, ponadpartyjnych) kandydatów, to taki Senat mógłby składać się prawie wyłącznie z nich – to mógłby być taki wynik jak w czerwcu 1989 r. To było i jest możliwe, ale trudne – bo skoro kandydaci byłiby wspólni, to z punktu widzenia poszczególnych partii nie byłiby „nasi”... A trudne jest wszystko, co wymaga rezygnacji z własnego stanu posiadania. Ale może warto spróbować. Może jakimś następnym razem?



został mechanizm zgłaszania ważnych dla obywateli kwestii, do których powinny się odnieść władze. Zebranie minimum 1000 podpisów oznacza, że władze muszą się do niej odnieść.

**3. Obywatelska inicjatywa ustawodawcza** Oddzielną kwestią jest zbieranie podpisów pod obywatelską inicjatywą ustawodawczą. W ramach opisywanego tu przedsięwzięcia konieczne jest stworzenie skutecznego sposobu na ich zbieranie. Poza sposobem tradycyjnym („na nogach”) można zaproponować jeszcze dwa. Jeden to rekrutowanie bezpośrednio (lub pośrednio poprzez struktury, partii, samorządów, ruchów społecznych, organizacji itd.) listy osób, które gotowe byłyby raz na jakiś czas (np. raz na kwartał) zapoznać się z propozycją ustawową i zechcieć udzielić jej poparcia. Wiele spośród znanych mi organizacji i ruchów dysponuje listami mailingowymi sympatyków, które liczone są w setkach tysięcy osób. Oczekiwanie, że zechcą odebrać maila i poświęcić mu nieco czasu raz na kwartał, nie jest chyba przesadne.

Takie wirtualne „zgromadzenie republikańskie” powinno liczyć możliwie dużo osób. Skoro próg minimalny uruchomienia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej to 100 tys. podpisów, to takie zgromadzenie powinno liczyć np. 300 tys. Ważne, żeby korzystanie z tego mechanizmu miało ściśle określony mechanizm. Żeby ów „mail specjalny”, który pojawia się np. raz na kwartał, to nie był jeszcze jeden mail od różnego rodzaju organizacji, grup, baniek, w których uczestniczymy. To nie może być kolejny mail w rodzaju tych, które codziennie (a nawet kilka razy dziennie) wzywają nas do działania). Ten mail musi być bardzo specjalny i odświętny. Musi być traktowany z odpowiednią powagą i skutkować gotowością do elementarnego wysiłku „przeczytania ze zrozumieniem” i złożenia podpisu (a może, co więcej, wysłania go pocztą).

Naciśnięciu „guzika wysyłającego” powinna towarzyszyć wielka rozważa – to rodzaj zwieńczenia całego procesu. Jeśli zostanie on jednak użyty, to powinna temu towarzyszyć szeroka informacja w mediach – tak, żeby przy tej okazji zainteresowanie mogli wyrazić także inni obywatele i dołączyć do „zgromadzenia” na przyszłość. Bardzo



ważne jest to, że takie „zgromadzenie” może składać się z naprawdę różnych środowisk, organizacji (w tym takich, które ze swojej istoty bazują na masowej komunikacji) oraz członków różnych partii i ich sympatyków. To jeden z tych momentów, w których natychmiast widoczna będzie „renta” ze współdziałania[12].

Inną metodą zbierania podpisów byłoby ustanowienie regularnego dnia, np. raz na kwartał, taki np. rodzaj soboty pracującej (wysiłkowej), w którym kumulowałyby się różne działania obywatelskie powiązane z opisanym tu przedsięwzięciem (choć nie tylko).

Obywatelska inicjatywa ustawodawcza jest bardzo ważnym i cennym narzędziem. Choć formalnie jej znaczenie może być takie samo, jak zebranie 15 podpisów poselskich (to nie powinno być trudne), ale w praktyce to znacznie więcej. Ustawa przygotowana z taką troską i zaangażowaniem obywateli, z podpisami tych, którzy ze zrozumieniem ją wspierają – to więcej niż „kartony podpisów”.

Obecnie rządzący zobowiązali się, że takie ustawy będą miały przynajmniej pierwsze czytanie (to już coś). Rzecz jasna, można je dalej wstrzymać, ale koszty polityczne takiego zachowania będą wysokie. Trzeba też pamiętać, że obywatelskie inicjatywy ustawodawcze nie podlegają zasadzie dyskontynuacji – czyli inicjatywa taka, jeśli prace nad nią nie zostały zakończone w danej kadencji, rozpatrywana jest w kolejnej. Brzmi to obiecująco i przydaje sensu całemu przedsięwzięciu.

[12] Już teraz zresztą można spróbować takie działania – Fundacja na Rzecz Praw Ucznia (młodzież w wieku 18–19 lat) przygotowała kilka miesięcy temu projekt bardzo potrzebnej ustawy dotyczącej konieczności zapewnienia opieki psychologicznej w każdej z szkół (obecnie funkcjonuje ona tylko w połowie). Projekt jest dojrzały, profesjonalny, skonsultowany szerzej niż znakomita większość projektów legislacyjnych rządu, ma pozytywną opinię grupy ekspertów PAN. Czy może być coś pilniejszego – szczególnie w czasach pandemii niż wsparcie dla młodzieży, którą bardzo boleśnie dotyka ta sytuacja? Potrzeba tylko 100 podpisów i można je zbierać do końca pandemii. Więcej: <https://ustawa.prawaucznia.pl/>.

# **CZĘŚĆ 3.**

## **Jak puścić tę maszynę w ruch?**

---

**W**szystko zaczyna się od opowieści, która nadaje sens i łączy w całość takie przedsięwzięcie. Musi ona działać na wyobraźnię, wzbudzać emocje, dawać nadzieję i motywować uczestników. Musi też pomóc przetrwać pierwszą i nieuchronną falę niechęci, wyśmiania, niedowierzania.

Oczywiście wygodniej byłoby, gdyby za opisywanym tu procesem stały silne instytucje publiczne, ale póki co, nie zanoszą się na to. To nie unieważnia jednak tych planów. Zdarza się przecież, że rozwiązania uruchamiane oddolnie w odpowiednim momencie stają się częścią formalnego mechanizmu prowadzenia polityki – tak było np. z często przywoływanym przykładem Zgromadzenia Obywatelskiego w Irlandii. Pouczający jest też przypadek belgijski. Tam, w pewnym sensie wskutek zmęczenia niekończącymi problemami z powołaniem rządu, sami obywatele w 2011 r. stworzyli – funkcjonujący w formie „kroczącego” procesu przez rok – oddolny wariant zgromadzenia obywatelskiego tzw. G1000<sup>[13]</sup>. Może pocieszające jest to, że cały proces zainicjowało ledwie 7 zdeterminowanych osób, którym udało się namówić innych do włączenia się w to

[13] Zob. <http://www.g1000.org/>.

### **CZĘŚĆ 3**

#### **Jak puścić tę maszynę w ruch?**

przedsięwzięcie. Jestem przekonany, że podobna droga jest możliwa także w Polsce.

**Mieć z kogo i z czego wybierać** W swej istocie proces, o którym mowa, powinien być wyrazem dobrze rozumianej obywatelskiej emancypacji i upodmiotowienia. Straciliśmy już mnóstwo czasu i mnóstwo energii. Długo czekaliśmy na coś, co nie chce się wydarzyć. Od kilku lat wielu ludzi i wiele środowisk poszukiwało wsparcia (a czasem wręcz przywództwa) po stronie partii politycznych i tworzonych przez nie instytucji (w tym Parlamentu, a w jego ramach – Senatu). Nic takiego nie zdarzyło się i raczej się nie zdarzy. Chciałbym się mylić. Bardzo chciałbym.

Mam wrażenie, że to jest jakaś strukturalna niemożność – tak jak niemożność prowadzenia wspólnych przedsięwzięć. Przekroczenie logiki rywalizacyjnej zdaje się przekraczać możliwości klasy politycznej. Bardzo dużo przedsięwzięć nie udało się z tego tylko powodu, że liderzy partii w ważnych moment gubią gdzieś guzik, który choćby na chwilę „wyłącza rywalizację”. Nie wierzę, że to się zmieni.

Po latach oczekiwania impuls musi przyjść niejako z zewnątrz. Impuls wyraźny, oparty o współdziałanie wielu środowisk obywatelskich. Być może opisany tu projekt mógłby być takim impulsem. Potrzebne jest – jak już pisałem wcześniej – możliwie szerokie pospolite ruszenie tych, którzy nie chcą rządzić (to naturalna funkcja i potrzeba partii), ale chcą być dobrze rządzeni. Tych, którzy chcą, żeby obywatele mieli z kogo (ludzie i partie) i z czego (konkretne rozwiązania) wybierać.

Trzeba podkreślić, że projekt ten nie kwestionuje i nie unieważnia sensowności działania partii politycznych. W demokracji parlamentarnej pełnią one bardzo ważną funkcję. Prawdą jest jednak także to, że wiele z nich wymaga głębokiej wewnętrznej (czasem bolesnej) modernizacji. Nie wiem czy jest tak wszędzie, ale w Polsce – z pewnością tak. Mówiąc otwarcie, działanie w ramach partii nie jest wcale łatwe. Znam sporo osób, które miały nadzieję, że wchodząc do partii politycznych, zmienią je od środka. Może kiedyś komuś się uda – ale póki co nie poznałem jeszcze takiego przypadku.

**Wiatr napędzający  
demokrację – obywatelskie  
poruszenie – pojawia się natu-  
ralnie w sezonach wyborczych  
albo w sytuacjach granicznych.  
Trudniej o ten wiatr w okresach  
„pomiędzy”, ale trzeba go jed-  
nak szukać, trzeba zaklinać  
wiatr. Bez tego ani rusz.**

Zresztą trzeba przyznać, że zamiar przystąpienia do polityki w wydaniu partyjnym wymaga poważnej determinacji. Szczerze mówiąc, nie jest łatwo pojąć, co właściwie skłania ludzi do tego. Jak wiele determinacji i jak grubej skóry trzeba, żeby uodpornić się na niemal całkowitą utratę życia prywatnego, na bycie przedmiotem permanentnych ocen, domniemania winy i złych intencji – a często także konieczność zaniechania własnych poglądów na rzecz partyjnej dyscypliny? Nie wiem, co może rekompensować te koszty. To nie ironia. To całkiem poważne pytanie.

Partie raczej nie uruchomią tego procesu, ale jeśli on ruszy i okaże się poważny – nie będą go mogły zignorować i ostatecznie poszukają pewnie w nim miejsce także dla siebie. Być może nie wszystkie partie uznają ten pomysł za sensowny, być może niektóre uznają go wręcz za zagrażający ich interesom. To jednak nie unieważnia pomysłu, a może wręcz przeciwnie – czyni go bardziej potrzebnym.

Być może partie zechcą jednak być częścią tego procesu mimo tego, że nie mogą być jego liderami ani reżyserami. Powinny natomiast we własnym interesie zasilać go swoimi pomysłami (diagnozy, ekspertyzy). Powinny pokazywać swoje kompetencje, rywalizować jakością propozycji. W ramach tego procesu mogą także same karmić się opiniami, przekonaniem, pomysłami uczestników tego procesu – i w oparciu o nie budować swoje przyszłe programy. Powinny też podpatrywać i włączać do swojej praktyki nowe metody komunikacji z wyborcami i rozpoznawania ich preferencji.

Mam przekonanie, że potrzebny i możliwy do zbudowania jest rodzaj połączenia – między różnymi mechanizmami i żywiołami politycznego zaangażowania. W ciągu ostatnich kilku miesięcy miałem okazję rozmawiać na temat opisanych tu pomysłów z liderami istotnych ugrupowań politycznych. Wszyscy oni pozytywnie ocenili jakość tego pomysłu, choć nie kryli wątpliwości, a czasem troski o to, czy może się on udać w wersji tak złożonej i ambitnej. Z punktu widzenia polityki realnej – takiej, w jakiej funkcjonują zawodowi politycy i polityczki – opisane tu przedsięwzięcie wygląda na skrajnie idealistyczne, na rodzaj dziecięcej krucjaty. To nie znaczy jednak, że do niej nie dołączą



w odpowiednim momencie. W całym opisanym cyklu mają ważną rolę do odegrania.

**Kogo potrzeba, żeby wystartować** Kluczowe znaczenie ma tu zaangażowanie środowisk obywatelskich. Szczególnie tych, które potrafią już uruchomić utrwalone i sprawdzone „stałe fragmenty gry” (np. debaty, fora, raporty, alerty, działania lokalne, analizowanie stanowisk ugrupowań politycznych, „odstłuchiwanie polityków”, deliberacje, narady, konsultacje, badanie opinii publicznej, prowadzenie kampanii). Mniej więcej wiadomo, kto jest do czego” zdolny” i w czym się specjalizuje. To bardzo pomaga.

Nie bez znaczenia jest też fakt, że Polska jest naprawdę bardzo zasobna, jeśli chodzi o środowiska obywatelskie (organizacje, think tanki, grupy eksperckie, redakcje, sieci, platformy) dysponujące poważnym kapitałem społecznym, ekspertyzami, realnym doświadczeniem, własnymi środkami komunikacji itp. nieomal we wszystkich sprawach publicznych, jakimi warto i trzeba się zająć. Od lat stanowią one olbrzymi i zbyt często ignorowany przez decydentów zasób. Działają w każdej z dziedzin życia społecznego, ale – działając w rozproszeniu, akcyjnie, najczęściej zmuszone do obrony i walki, a nie tworzenia – wypalają się. Proces ten można ilustrować dziesiątkami przykładów. Zna je każda z tych sfer: kultura, edukacja, środowisko naturalne, wykluczenie społeczne, zdrowie, rozwój lokalny, prawa pracownicze, przedsiębiorczość, prawa człowieka... W każdej z nich „składowa obywatelska” jest bardzo silna i energię tę najwyższy czas wykorzystać.

A jak zacząć? Po pierwsze, potrzebna jest grupa inicjatywna. To musi być dosłownie kilka-kilkanaście osób lub instytucji, które trwale zaangażują się w ten proces. Muszą być oddane sprawie, mieć do siebie wzajemne zaufanie (aby mogły polegać na sobie) i zdolność do pokonywania nieuchronnych wyzwań. Bez ich akceptacji i realnego zaangażowania to się nie wydarzy. Chodzi o osoby i instytucje o odpowiednim formacie, integralności, sprawczości. To one jako pierwsze musiałyby dać przykład, że możliwe jest działanie wspólne. Każda z nich – poza przekonaniem do planu jako takiego – powinna być

także gotowa do użycia osobistego autorytetu i zasobów na jego rzecz. Ta grupa inicjatywna powinna być w stanie uruchomić rodzaj „kuli śniegowej”, którą trzeba dalej toczyć. Część partnerów powinna być względnie stała (aby spinać i „popychać” proces), inne wystąpią zaś jedynie epizodycznie (w związku z tematem).

W całym procesie konieczna jest koordynacja – ale nie hierarchiczne zarządzanie na poziomie krajowym. Olbrzymia część pracy powinna działać się lokalnie. Nie chodzi tu tylko o „dystrybucję” pomysłów i zadań tworzonych „centralnie”, lecz także i przede wszystkim o „kontrybucję” ze strony różnych środowisk lokalnych. Organizacje lokalne – swoiste gniazda – są absolutnie kluczowe dla całego procesu. Tym razem są one ważniejsze niż organizacje ogólnopolskie. To one w szczególności powinny mieć sprawczość w tym procesie, a być może nawet nim kierować.

Do tego grona koniecznie dobrze byłoby namówić też sieci organizacji lokalnych działające w taki sposób, jak np. Działaj Lokalnie (PAFW/ARF), Masz Głos Masz Wybór (Fundacja Batorego), Masz Prawo Wiedzieć (Art. 61), a także organizacje strażnicze działające lokalnie. Niemniej ważne są środowiska samorządowe (konkretne samorządy albo ich porozumienia) czy ruchy miejskie (w tym w szczególności Kongres Ruchów Miejskich). Istotną rolę w procesie mogłoby też odegrać środowisko akademickie. Takich sieci jest oczywiście znacznie więcej – trzeba je zidentyfikować i starać się namówić do współpracy.

Koniecznie trzeba wypracować mechanizmy, które pozwolą na to, żeby opisywany tu proces był prowadzony i zakorzeniony w możliwie wielu miejscach Polski. Chodzi nie tylko o różnorodność „geograficzną”, ale także mnogość lokalnych instytucji i środowisk. Rozmowy, narady, deliberacje, wysłuchania itd. – w zależności od formatu – mogą być prowadzone w różnych przestrzeniach. Od przysłowiowego „kuchennego stołu” przez kawiarnie, rynki, biblioteki, sale samorządowe, szkoły i uczelnie itd. Z tego punktu widzenia konieczne jest tworzenie takich formatów i skryptów, które mogą być zastosowane lokalnie. Jest ich wiele. Niektóre są generyczne, np. tzw. publiczne dialogi, które

**Potrzebne jest możliwie szerokie pospolite ruszenie tych, którzy nie chcą rządzić (to naturalna funkcja i potrzeba partii), ale chcą być dobrze rządzeni. Tych, którzy chcą, żeby obywatele mieli z kogo (ludzie i partie) i z czego (konkretne rozwiązania) wybierać.**

mogą być prowadzone na każdy temat, jakiego oczekują uczestnicy. Inne są niejako dopasowane do konkretnej tematyki – np. materiały dotyczące konkretnego tematu, proponowane wątki rozmowy, dylematy, które wymagają rozstrzygnięcia, instrukcje dla moderatorów, sposoby przekazywania ewentualnych konkluzji.

Poza organizacjami, które mają „duże zasięgi” – co powoduje, że proces jest włączający i że istotnie dzieje się w różnych częściach Polski – potrzebne są środowiska związane z konkretnymi zagadnieniami tematycznymi. Tu w szczególności chodzi o wyspecjalizowane branżowo organizacje i instytucje (np. think tanki, środowiska praktyków, redakcje). To one pomogą sformułować diagnozy i opcje rozwiązań. To one zasilą proces wkładem merytorycznym.

Specyficzną grupę organizacji, do których warto skierować zaproszenie do tego przedsięwzięcia, stanowi też ponad 1000 organizacji, które ostatnio z taką determinacją wspierały kandydaturę mec. Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz do roli Rzecznika Praw Obywatelskich. To przedsięwzięcie – choć nie zostało uwieńczone spodziewanym efektem – stanowi kolejny dowód na to, że rzeczy niemożliwe są możliwe. Takiej wiary nam potrzeba.

Można mnożyć kolejne rodzaje instytucji i środowiska. Najważniejsza jest jednak zasada, żeby cały proces był otwarty na to, by w jego trakcie można było łatwo do niego przystępować – ale też móc od niego odstąpić we właściwym momencie (to niekoniecznie oznacza kontestować) albo wrócić do swoich zajęć („wskakiwać” i „zeskakiwać”). Dla większości ze środowisk będzie to bowiem zaangażowanie epizodyczne i dodatkowe w stosunku do bieżącej pracy. Ważne jest jednak, żeby mogły pojawić się „w odpowiednim momencie” i nie „zapomnieć roli”.

## A zatem: są chętni?